

ZBIGNIEW BRESSA

ROZPROSZONE MROKI

ZBIGNIEW BRESSA

ROZPROSZONE
MROKI

WYDAWNICTWO RED BOOK
2017

ZBIGNIEW BRESSA

ROZPROSZONE MROKI

Copyright©Zbigniew Bressa 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

Wydanie I

ISBN: 978-83-65714-20-6

Projekt okładki:
Anna Bącik

Korekta i redakcja:
Monika Mielcarek

Skład i łamanie:
Zbigniew Bressa

zbigniewbressa.com

I

WRASTAJĄCE KORZENIE

Nad wysokimi górami, nieprzystępnymi borami oraz połaciami udekorowanych perlistymi kroplami rosy łąkami królowała noc. Towarzyszyła jej cisza. Cisza, która była nieodzownym atrybutem tego miejsca. Cisza mącona jedynie szumem górskiego potoku i szeptem wiatru w liściach drzew, trawie i oczeretach.

Wydawało się, że wszystko śpi, utulone w mglistych oparach. Nic bardziej mylnego – o tak później porze wyruszyli na łowy drapieżcy. W powietrzu unosiły się sowy i nietoperze; w smolistej czerni przemykały lisy, kuny i łasice; w trawie pełzały żmije; pomiędzy gałęziami drzew tkwały misterne sieci pająki. Każdy z łowców cierpliwie czekał i znienacka uderzał, chwytając w śmiertelne szpony zaskoczoną ofiarę. Czasami nocną ciszę zakłócił przeraźliwy – mrozący krew w żyłach – pisk konającego zwierzęcia; czasami okrzyk triumfu łowcy nad pokonanym. Tylko pająki bezgłośnie pożerały złapanego w pajęczynę owada.

Pośród dzikiej scenerii skalistych gór i rozległych lasów ukryty był kamienny domek. Co najmniej w promieniu pięciu kilometrów od niego nie znajdowało się inne domostwo.

W jednej z izb chatki spał rudowłosy mężczyzna. Nagle z objąć Morfeusza wyrwało go szczekanie psów. Zerwał się z łóżka, założył na nogi wykoślawione buty i sięgnął po stojącą przy łóżku fuzję. „Kto to może być? Kogo tutaj przyniosło o tak późnej porze?” – pomyślał. Narzucił na wychudzony grzbiet

kurtkę, uchylił drzwi i wyszedł na zewnątrz. Jego wyostrzony słuch wychwycił szepty po drugiej stronie muru. Mężczyzna z natury był ostrożny, ale ze strzelbą w dłoni czuł się bezpieczny.

– Hej, kto tam?! Mówcie coście za jedni, bo poszczuję was psami albo powystrzelam jak kaczk! – krzyknął buńczucznie.

– Gospodarzu, miej litość i wpuść nas do środka. Jesteśmy potrzebującymi pomocy wędrowcami – odezwał się zza muru chrapliwy głos.

– Jak się tutaj znaleźliście i to o tak późnej porze?!

– Zabłądziliśmy w tym przeklętym labiryncie dróg, na dodatek uszkodziliśmy powóz i nie mamy pojęcia, w którą udać się stronę – odpowiadał mu ciągle ten sam głos.

– Posłuchaj mnie uważnie, draniu, gdyż, jak się domyślam, jesteś hersztem tej parszywej bandy. Mam dobre serce i zrobię dla was wyjątek. Uchylę boczną bramkę i jeden z was wejdzie do środka. Nie próbujcie żadnych sztuczek, bo przeklniecie dzień, w którym się urodziliście.

Na moment zapanowała cisza.

Do czujnych uszów Bothana, tak bowiem nazywał się gospodarz, docierały tylko pojedyncze słowa i strzępy rozmów. Najwiśdoczniej przebywający za bramą ludzie się naradzali. Doskonale zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, gdyż na to ustronie coraz częściej zapuszczały się podejrzone typy. Miał rację. Za bramą czaili się *travellersi* – etniczny odłam wędrowców. W większości byli to osobnicy spod ciemnej gwiazdy działający w zorganizowanych grupach. Mając świadomość, że ludzie w miastach nie są im zbyt przychylni, postanowili zastosować swoje nieczne sztuczki wobec łatwowiernej wiejskiej ludności.

Wróżyli ludziom z fusów, kart i ręki. W międzyczasie kradli i plądrowali. Podczas gdy jedna z kobiet kładła kabałę, inni ładowali do worów jaja, kury, kaczki i gęsi. Ostatnio dopuścili się jeszcze bardziej haniebných czynów: zamordowali bogatego rolnika oraz porwali dziecko. Wydawali się spłoszeni, gdyż obawiali się, że ich tropem podąży policja.

Wąsaty łotr z szeroką blizną na policzku wsunął się w szczelinę uchylonej bramki, którą Bothan natychmiast za nim zatrzasnął i zamknął na zasuwę. Do nóg zbira przyskoczyło tuzin rozwścieczonych wilczurów. Oprych odruchowo zasłonił się rękami, bojąc się, że zostanie rozszarpany na strzępy. Od niechybnej śmierci uratował go gospodarz, przywołując do siebie rozjuszony psy.

Bothan zlustrował zbira.

– Idź przodem i pamiętaj, że trzymam cię na muszce. Jeden podejrzany ruch, a zrobię z ciebie sito – powiedział podniesionym głosem, celując oprychowi w brzuch i obserwując go bacznie spod krzaczystych brwi.

Przybysz powiedział gospodarzowi, że koło powozu, którym podróżowała banda, zostało uszkodzone i muszą je wymienić. Bothan wspomniałomyślnie odstąpił im jedno ze swoich. Jedyne, czego pragnął, to jak najszybciej pozbyć się zgrai nieproszonych gości.

Wpuszczony do środka jegomość lustrował świńskimi oczkami posesję. Zbliżył się do Bothana i poprosił go o żywność. W rozliczeniu zaproponował mu kobietę. Oczywiście nie za darmo. Interes to interes – będzie musiał mu sporo dopłacić. W pierwszej chwili Bothan uznał jego ofertę za niedorzeczną, ale po głębszym namyśle zapytał go drżącym głosem:

– Kobieta? Prawdziwa kobieta? – pragnął się upewnić. Szef bandy dobrze znał się na ludziach i zwierzył dobry interes. Wszak handel żywym towarem był podstawą jego egzystencji.

Przyprowadził ją na postronku – jak krowę na spęd bydła. Podążała za nim pokornie, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Mężczyzna ujął ją za podbródek i zmusił, aby spojrzała na Bothana.

– Ile za nią chcesz, łotrze?

– Dziesięć złotych liwrow i będzie twoja. Od razu oświadczam ci, że nie przyjmuję czeków ani banknotów.

– Ile?! Zwariowałeś, przecież dałem ci koło, mleko, dwa bochenki chleba i trzy sery! Sześć i ani centyma więcej.

– Młoda, zdrowa i silna; zna się na ziołach i medycynie. Do tego ma wszystkie zęby. Nie wierzysz? – zrobił ruch w kierunku skulonej niewiasty, jakby zamierzał siłą otworzyć jej usta.

– Co ty wyprawiasz?! Nie jesteśmy na targu niewolników! – zachnął się Bothan. – Siedem. To moje ostatnie słowo.

– Żartujesz sobie ze mnie. Widzę, że się nie dogadamy – i odwrócił się na pięcie.

Umysł Bothana pracował na zwiększonych obrotach; serce waliło mu jak młotem; myśli przelatywały przez głowę jak błyskawice.

– Osiem! – wykrzyknął.

Herszt bandy zatrzymał się w pół kroku, popatrzył na niego, roześmiał się i potakująco kiwnął głową.

– Masz szczęście, że mi się spieszy. Osiem, niech ci będzie. Wiedz jednak, że ta kobieta jest silna jak wół – możesz ją nawet zaprzęgnąć do pług. Będziesz miał w domu gospodynię, służącą i kochankę – powiedział rozbawionym głosem.

Po dobitym targu, Bothan przejął w dłonie sznur i krzyknął:

– Już was tutaj nie ma, hultaje! Uciekajcie mi stąd jak najdalej! Żadnych sztuczek! Brać ich! – krzyknął w kierunku psów, a te jak oszalałe rzuciły się w kierunku bramy. – I żebyś was tutaj więcej nie widział! – wygrażał zaciśniętą pięścią, zatraskując bramkę. Odetchnął z ulgą – zagrożenie minęło. Na powrót poczuł się bezpieczny – wysoki mur i solidna brama oddzielały go od obwiesiów. Ścisnął w dłoni powróż i podążył w kierunku kamiennego domku.

Bothan był zagubiony jak dziecko. Niezdolny do podejmowania samodzielnych decyzji. Wszędzie wietrzący podstęp.

– Muszę się zastanowić, płaczą mi się myśli. Wybacz mi... – bełkotał do kobiety trzęsącym się głosem, wiążąc sznur do wmurowanego w ścianie haka.

Wszedł do chatki, wyciągnął z kredensu butelkę i pociągnął z niej spory łyk wódki. W ten sposób dodawał sobie odwagi. Obtarł rękawem usta i wyszedł na zewnątrz. Krążący w żyłach alkohol spowodował, że wszystko wydało mu się prostsze.

– Będiesz tej nocy spała w stajni. Przyniosę ci koc i coś do zjedzenia. Jutro podejmę decyzję. Jeżeli przekonasz mnie do siebie, uczynię cię gospodynią. Mało powiedziane – panią tych włosów – mówił uniesionym głosem.

Wiedział już, że nie zaśnie do rana. Ciągle bowiem miał przed oczyma twarz kobiety i targały nim wyrzuty sumienia. Postąpił z nią gorzej niż z psem. Potraktował ją tak, jak kiedyś potraktowano jego. Nie nauczył się niczego i bezmyślnie powielił metody swoich dawnych gnębicieli.

Czuł się prawowitym panem kobiety, gdyż kupił ją, dokonując uczciwej transakcji. Postanowił, że wkrótce uczyni ją swoją służącą i uzyska dostęp do jej ciała.

„Mój Boże! Czy to możliwe, abym obcował z kobietą i zaznał z nią cielesnej rozkoszy?!” – myślał.

Jak dotychczas mu się to nie udało, chociaż próbował. Być może tej nocy uśmiechnęło się do niego szczęście i teraz już do woli będzie mógł sycić się słodkimi ustami; dotknie aksamitnej skóry, ud, piersi... łona! Na tę myśl zakręciło mu się w głowie i zadrżał z podniecenia.

Postanowił, że jutro z samego rana rozpocznie ostrożne podchody, chociaż nie miał zielonego pojęcia, jak się do nich zabrać.

Keira – tak na nią wołano od dziecka. Prawdę mówiąc nie знаła swojego prawdziwego imienia ani nazwiska. Nie posiadała też żadnego dokumentu tożsamości ani nie widniała w żadnym rejestrze. Była zagubioną w przeogromnym świecie ludzką krużyną.

Przekazywano ją sobie z rąk do rąk. Żyła przez lata w przygodnych grupach, w których utożsamiana była z przybłędą. Pełniła rolę popychadła i zapchajdziury. Wysługiwano się nią i nikt się z nią nie liczył. Ot, takie zupełne nic – zero. Nazywano ją szmatą, ładacznicą, wywłoką i wykorzystywano seksualnie. Jedno z urodzonych przez nią dzieci zostało sprzedane, drugie poroniła.

Większość czasu spędzała w cygańskiej karawanie, podróżując z miasta do miasta. Wróżyła ludziom z kart, sprzedawała zioła oraz wonne olejki. Czasami pobłądziła lub też uczyniła coś wbrew

własnej woli. Znosiła swój los z pokorą, cierpliwie wyczekując szansy. Nie przejmowała się zbytnio tym, że przyprowadzono ją tutaj na powrozie, a pierwszą noc spędziła w oborze. To nieważne, że śmierdziało gnojem i kąsały ją muchy. Miała nadzieję, że wreszcie nadszedł kres jej wędrówki i rozpoczyna się nowy rozdział w jej życiu. Może, nawet, uda jej się tutaj założyć rodzinę. Rodzinę, której dotychczas nie miała; rodzinę, której ponad wszystko pragnęła, i z której byłaby dumna.

Bothan miał trzydzieści lat. Ci, co go znali nazywali go „kozim pasterzem” lub „baranim bobkiem”. Nie można go było posądzić o to, aby załapał się na listę najgustowniej ubierających się mężczyzn. Przedstawiał się raczej dziwacznie, sprawiając w swoim źle dobranym ubraniu osobnika, który dopiero co włamał się do sklepu z używanymi ciuchami. Wyśmiewano się z jego prostackich manier. Świat wchodził w epokę komputerów, ludzie poruszali się nowoczesnymi samochodami, a on sprawiał wrażenie, jakby ciągle tkwił w średniowieczu.

Edukacja Bothana zakończyła się na czterech klasach szkoły podstawowej. Ledwo potrafił czytać i pisać oraz poznał tylko elementarne zasady matematyki.

W wyniku fatalnego zbiegu okoliczności został ostatnim członkiem rodu. Jedynymi zasobami, które posiadał, było zaniedbane gospodarstwo rolne, zdezelowany traktor i kilka wysłużonych maszyn rolniczych. W jego domu nie było bieżącej wody, centralnego ogrzewania ani elektryczności.

Nie potrafiąc dopasować się do zmieniającego się otoczenia, stawał się odludkiem i samotnikiem.

Przy stole panowało krępujące milczenie. Siedzieli naprzeciwko siebie – dwoje obcych sobie ludzi. Uciekali z oczami na boki; unikali wzroku. Jedli w milczeniu chleb z masłem, ser i popijali kawę.

Bothan był nieokrzesany, brakowało mu ogłady i nie miał doświadczenia w obcowaniu z kobietami. Za każdym razem, gdy znajdował się w pobliżu niewiasty, paraliżował go paniczny strach.

Keira ukradkiem obserwowała gospodarza i lustrowała otoczenie. Podniosła oczy i odważnie spojrzała w twarz Bothana.

– Dzisiaj wieczorem wykąpiemy się razem i prześpiemy w jednym łóżku – powiedziała cichym głosem.

– Co?! – wykrzyknął jak oparzony.

Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego. Kobieta zupełnie wytrąciła go z równowagi. Zachwiała jego pewnością. Czuł, że inicjatywa wymyka mu się z rąk. Jak to? Przecież nie kto inny, jak tylko on jest tutaj panem! To on, Bothan McKay, jest właścicielem tego skrawka ziemi i nikt nie będzie mu narzucał, co robić, a czego nie. Zaczął nawet podejrzewać, że ta dziewczyna podstępnie została wprowadzona do jego domu. Na pewno zamierza go omamić, a następnie zawładnąć jego gospodarstwem. „Tak, jakby czytała w moich myślach, diablica” – pomyślał ze złością. Spojrzał na siedzącą przed sobą niewiastę i stwierdził, że jest piękna. Uwagę przyciągały szczególnie jej czarne oczy. Nagle zapragnął jej, pożądał, ale panicznie bał się zrobić pierwszy krok.

Keira odgadła targające nim wątpliwości. Bothan trząsł się i nie wiedział, co zrobić z dłońmi. Postanowiła więc skierować jego myśli w innym kierunku.

– Pozwól mi, że pokrótce przedstawię ci moją historię. Nie mam pojęcia, skąd pochodzę i kim są, czy byli, moi rodzice. Całe życie pomiatano mną i obrażano. Nikt nigdy nie pogłaskał mnie czule po głowie i nie powiedział do mnie dobrego słowa. Nie z własnego wyboru wiodłam parszywe życie i postępowałam niegodnie. W gruncie rzeczy jestem prostą i uczciwą dziewczyną – przekonywała Bothana. – Nie mam względem ciebie niecných zamiarów. Okaż mi szacunek i przemów do mnie dobrym słowem. Nie poniewieraj mną, jak robili to inni. Proponuję ci stworzenie uczciwego związku. Jak widzisz, nie mam wyboru i jestem skazana na ciebie. Zjednoczmy się więc i połączmy nasze siły. Udowodnijmy sobie i innym, że jesteśmy coś warci. Uwijmy sobie na tym odludziu przytulne gniazdko. Przyrzekam ci, że będę ci we wszystkim pomocna. W ramach zapłaty pragnę tylko jednego – odrobiny życzliwości – dodała cichym, aksamitnym głosem.

Zaskoczony Bothan słuchał jej z otwartymi ustami, nie mogąc nadziwić się, że włączając się dotąd z *travellersami* kobieta potrafi tak sensownie dobierać słowa.

Keira miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, ale już posiadała spory zasób wiedzy z psychologii i dobrze wiedziała, że zdobycie przewagi nad tym człowiekiem to kwestia najbliższych dni.

Wieczorem wyciągnęła na środek kuchni metalową balię, napełniła ją gorącą wodą i dodała do niej aromatycznych ziół. Jeszcze tej samej nocy Keira uczyniła pierwszy krok na drodze przejęcia kontroli nad swoim panem i uczynienia go tym samym swoim niewolnikiem.

Posiadłość Bothana usytuowana była za wysokimi górami i niedostępnymi lasami, na samym końcu najdalej wysuniętej w stronę oceanu części skalistego półwyspu, na stromym wzniesieniu, które następnie przechodziło w równinę.

Prowadziła do niego droga, która bynajmniej nie była czteropasmową autostradą. Do przecinającego strome zbocze potoku dało się jeszcze jako tako dotrzeć, ale na ostatnim odcinku trakt przechodził w wąską, krętą ścieżynę, która po opadach deszczu zmieniała się w grzęzawisko.

Od urwiska do urwiska parcelę otaczał pięciometrowy mur. Dostępu do posesji broniła solidna brama. Jednym słowem była to trudna do zdobycia forteca.

Ten skrawek ziemi nazywano Nagimi Skałami lub Zagubionym Łądem.

Bothan zaprzągnął do wozu wynędzniałą szkapę i pogwizdując wesoło, udał się do miasta. Na odbywającym się tam jarmarku zamierzał sprzedać króliki, owce, jaja, sery, wełnę i skóry.

Z niepokojem nasłuchiwał krążących pomiędzy wzburzonymi wieśniakami wieści. W ostatnich dniach grupa *travellersów* dokonała w tej okolicy kilku przestępstw. Podobno uprowadzono dziecko, włamano się do domów oraz otruto i okradziono jednego z gospodarzy. Po popełnieniu tych wykroczeń złoczyńcy jakby rozplynęli się w powietrzu. Zapewne zaszyli się w górach lub w którymś z okolicznych lasów. Akcja policji prowadzona była na szeroka skalę, a tutejsza ludność odgrażała się, że nie będzie łagodnego traktowania schwytanych oprychów.

Po plecach Bothana przeszły zimne ciarki. Keira wydawała mu się teraz poważnym zagrożeniem dla jego egzystencji. Szybko

upłynął przywiezione przez siebie towary oraz zakupił naftę, świece, kaszę, mąkę, cukier i konserwowaną żywność. Początkowo zamierzał kupić Keirze bieliznę i korale, ale w świetle zasłyszanych nowin szybko zrezygnował z tego pomysłu, bojąc się, że taki zakup wzbudzi podejrzenia.

Po powrocie zarzucił Keirze, że go oszukała. Ona zaklinała się, że nigdy nie brała udziału w niecnym postępkach swoich współtowarzyszy. Po prostu była skazana na tych ludzi. Cóż innego mogła uczynić? Komu miała się poskarżyć? Gdzie miała uciec? W końcu – kto by jej uwierzył? Była nikim. Człowiekiem poza systemem. Wędrując sama, szybko skończyłaby marnie.

– Wyrzucę cię z domu jak parszywego psa. Nie zamierzam budować domowego ogniska na słabych fundamentach. Takie osoby jak ty stwarzają zagrożenie. Mogę nawet zostać oskarżony o udzielanie pomocy przestępcom!

– Myślałam, że w końcu uśmiechnęło się do mnie szczęście. Jeżeli chcesz, wyrzuc mnie za bramę, skazując tym samym na pewną śmierć. Rób, co ci się żywnie podoba. Pamiętaj: będziesz miał na rękach niewinną krew. Jesteś egoista, egocentryk i konformista, bojący się zaufać innej osobie – mówiła łamiącym się głosem.

Bothan zeszywniał. Keira uderzyła w czuły punkt. Czyżby domyślała się, że w przeszłości dopuścił się nikczemnych czynów?

– Czy myślisz, że nie pragnę bliskości drugiego człowieka? Mój dotychczasowy żywot to ciągła udręka. Ojciec pomiatał mną, bił i poniżał. Wyrzucał mnie z domu w środku nocy. Często za-

miast w łóżku spałem w stajni lub w kurniku. Do tej pory mam koszmary – tłumaczył się.

Wstrzymał oddech, oparł głowę na ramieniu kobiety i głośno załkał.

Keira pogłaskała go czule po głowie. Doskonale go rozumiała. Z nią było podobnie.

Za wysokim murem przebywały dwie bliskie sobie osoby. Połączył ich przypadek i żadne z nich nie miało zamiaru z siebie zrezygnować. On pragnął mieć przy boku kobietę, ona marzyła o stabilizacji i założeniu rodziny.

Bothan opuszczając posiadłość, starannie zamykał za sobą bramę; Keira zaszywała się w domku, nie wystawiając z niego nosa. Umówili się, że w razie wpadki Keira powie, że zabłądziła, a Bothan przygarnął ją z dobrego serca. Opracowali system ostrzegania i drogi ewakuacyjne. W przypadku, gdyby nastąpiła konieczność wpuszczenia kogoś na teren posesji, Keira miała czmychnąć do usytuowanej w głębi łądu jaskini.

Pierwsze tygodnie wspólnego życia były dla nich prawdziwą sielanką. Na Bothana czekał ciepły posiłek i posłane łóżko, a Keira cieszyła się, że wreszcie zakończyła tułaczkę.

Keira wniosła ze sobą do tego domu tylko parę ciuchów, kilka buteleczek ziołowych ekstraktów, skórzaną sakiewkę z nasionami, talię kart do wróżenia i to, co było jej najskrytszą tajemnicą – starannie ukryte złote monety. Od najmłodszych lat gromadziła środki na czarną godzinę.

Nie marnowała czasu, pragnąc doprowadzić swój nowy dom do porządku. Dom. Dobrze sobie. Słowo to niezbyt trafnie opisywało jej nowe lokum. Chatka składała się z pięciu pomieszczeń, wliczając w to kuchnię i spiżarnię. W każdej szczelinie, otworze, spoinie i pęknięciu murów załęgło się paskudne robactwo: karaluchy, pluskwy, korniki, mole, srebrne rybiki i długonogie pająki. Innymi słowy było to marne, przesiąknięte odorem stęchlizny i pleśni schronienie.

Nie lepiej sprawy przedstawiały się na zewnątrz. Tam z kolei dominował zapach płynącej przez środek podwórza gnojówki, a roje much niemiłosiernie kąsały bydło i ludzi. Gdzie tylko się obróciła, wdeptywała w odchody.

Z miasta docierały do nich przerażające wieści. Dwóch złapanych łotrów powieszono na przydrożnych drzewach i przyczepiono do ich ciał tabliczki z napisem: „Złoczyńca”. Jedną z kobiet znaleziono przebitą widłami. Wcześniej torturowano ją i gwałcono. Dwie następne zginęły straszliwą śmiercią – oblano je benzyną i spalono żywcem. Niektórzy z pochwyconych, aby uniknąć kary, próbowali zrzucić winę na innych, w tym na Keirę.

W takiej sytuacji nie pozostało jej nic innego, jak tylko siedzieć cicho. Zdawała sobie sprawę, że jeśli tylko wychyli głowę z ukrycia, natychmiast zostanie pochwycona i zlinczowana przez rozwścieczonych wieśniaków.

Pomimo zagrożenia uznała, że miejsce, w którym obecnie przebywała, jest niezwykle urokliwe. To prawda – ziemia nie była tutaj urodzajna, ale całe włości przedstawiały się imponująco. Znajdowała się tutaj niezliczona ilość zagajników, pieczar, stawów, skał i klifów. Co rusz natykała się na zające, kuropatwy,

bażanty, a raz przyuważyła nawet sarenkę. Czasami wspinała się na najwyższą skałę, wypatrując ledwie widocznych świateł odległego miasta. W miejscu, gdzie się znajdowała, panowała cisza, tam – tętniło życie. Tutaj był spokój, tam – harmider. Tutaj życie było proste, tam – skomplikowane.

Przymknęła na chwilę oczy, wsłuchując się w szum wiejącego wiatru. Gdzieś obok niej odezwała się cykada, gdzieś indziej zarechotała żaba. Wydawało jej się, że znajduje się w biblijnym raju. W miejscu, o jakim zawsze marzyła.

Nastała surowa zima, a pola pokryły się grubą warstwą puszystego śniegu. Porywisty wiatr tworzył zaspę, utrudniając dotarcie do oddalonych pastwisk.

Często siadali razem przy kaflowym piecu, obserwując szalejącą za oknami śnieżycę. Ona łuskała fasolę i oczyszczała kukurydzę, on robił brzoźowe miotły i wiklinowe kosze.

Dziwna była z nich para. Nie widać było między nimi gorącego uczucia. Czasem potrafili nie odzywać się do siebie godzinami. Wystarczyło im tylko to, że drugie było w pobliżu.

Wczesną wiosną na świat przyszło pierwsze dziecko. Poradzili sobie wyjątkowo dobrze. Keira miała spore doświadczenie w położnictwie, a Bothan często asystował przy cieleniu się kóz, baranów czy krów. Z wprawą przeciął pępowinę, ujął w zakrwawione dłonie wrzeszczące niemowlę, podniósł je do góry i wykrzyknął:

– Mam syna!

Umył dziecko w ciepłej wodzie i owinał je w pieluszki. Keira wzięła od niego niemowlaka i osłabionym głosem powiedziała:

– Nazwijmy go Gabhran. Odpocznę sobie chwilę, a ty przygotuj mi napar z ziół. Teraz na tobie spoczywa obowiązek dbania o mnie i naszego synka. Wnioskując z jego płaczu, z pewnością będzie potrzebował sporo pożywienia.

Spojrzała na słodkie niemowlę zastanawiając się, kto jest jego ojcem. Minął bowiem dopiero ósmy miesiąc, odkąd się tutaj znalazła, a dziecko nie wyglądało na wcześniaka. Uznała jednak, że byłaby wielce nierozważna, dzieląc się teraz z Bothanem swoimi wątpliwościami. Pamiętała bowiem rozpacz, kiedy odebrano jej pierwsze dziecko. Pamiętała również ból, kiedy poroniła.

Nieważne, kto jest jego ojcem. Jej zadaniem będzie go chronić i wychować na porządnego człowieka.

Patrzyła z miłością na niemowlaka, nie mając pojęcia, że za kilka lat zmieni się on w okrutnego diabełka.

Wiosna przyniosła ze sobą eksplozję życia. Wykiełkowały nasiona; zakwitły kwiaty; zazieleniły się łąki. W przydomowym ogródku pojawiły się warzywa, zioła i kwiaty. Pnie owocowych drzew zabieliły się w słońcu; krzewy zostały fachowo przycięte. Poletka ziemniaków, kapusty, rzepy i kukurydzy przeobraziły się we wzorcowe zagony.

Bothan w wolnych chwilach łowił ryby i łapał we wnyki zające, bażanty i kuropatwy. Keira patroszyła, porcjowała i peklowała zdobycz, a następnie wędziła mięso w przydomowej wędzarni.

Wiodło im się całkiem, całkiem. Do posiadłości doprowadzono elektryczność; w domu pojawiła się lodówka, pralka i telefon.

Ich życie toczyło się w mocno ograniczonej przestrzeni. Z jednej strony kraniec stanowił wysoki mur, z pozostałych – strome klify. Nikt nie mógł ich dostrzec – ani z lądu, ani z oceanu. Możliwe było to jedynie z powietrza, dlatego na odgłos przelatującego samolotu lub helikoptera chowali się w domu.

Następnej wiosny na świat przyszła ich córka bliźniaczo podobna do matki. Zawinięta w biały gałganek wyglądała jak aniołek. Jej czarne jak antracyty oczęta świeciły nawet w nocy. Przed jej narodzeniem Keira miała sen, który uznała za proroczy. Mała – nazwana przez rodziców Sian – miała być tą, która wyprowadzi ich poza bramę posiadłości.

Jak to możliwe, aby w dwudziestym wieku na terenie potężnego Imperium przebywały anonimowe jednostki?

Odpowiedź była prosta – odrobina szczęścia. Poza tym prymitywny rolnik i jego towarzyszka życia byli niezwykle pomysłowi. Używali trików i technik, których nie powstydziłby się najinteligentniejszy człowiek. Bothan dokonywał zakupu pokażnej liczby ubrań, odżywek i środków czystości dla dzieci i kobiet, a następnie część z nich przekazywał instytucjom charytatywnym, nie wzbudzając w ten sposób podejrzeń.

Dzieci chowały im się zdrowo. Keira od najmłodszych lat uczyła je pisać, czytać i liczyć. Gabhran przysposabiał się do pracy na roli, podczas gdy Sian zapoznawała się z ziołolecznictwem. Gabhran pomagał ojcu przy sianokosach i przy wyrobie serów; Sian – matce w kuchni.

Keirze ciągle nie dawał spokoju fakt, że ona i jej pociechy nie widnieją w żadnym rejestrze. Obawiała się jednak, że po ujawnieniu zostałyby wtrącone do więzienia. Zadawała sobie po stokroć

pytanie: co wtedy stałoby się z jej dziećmi? Na pewno zostałyby zabrane do sierocińca. Potem oddano by je do adopcji. Ponad wszelką wątpliwość nadano by im nowe imiona i nazwiska, a następnie bezpowrotnie rozmyłyby się w ludzkiej masie.

Czasami wspinała się z dziećmi na najwyższą skałę i razem z nimi podziwiała pobłyskujące w dole światelka. Zdarzało się też, że po powierzchni wody przepływał podążający do oddalonego portu kontenerowiec.

– Czy na tym statku płyną ludzie? Dlaczego nie możemy zejść w dół zbocza? – pytała Sian, wyciągając rączkę.

Na jej dociekliwe pytania Keira odpowiadała, że za wysokim murem żyją nieprzychylni im ludzie, ale nadejdzie taki dzień, w którym stawia im czoła.

Rodzina McKay'ów zamieszkiwała te tereny od niepamiętnych czasów. Przed wiekami ród ten zarządzał ogromnym terytorium. Jednakże przeciwności losu i nieszczęśliwe wypadki znacznie okroiły ich majątek. Krążyły pogłoski, że potomkowie tej rodziny byli niezaradni i podatni na pokusy – oddawali się pijaństwu, grze w karty, balowaniu i swawoleniu z kobietami. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać. Stopniowo tracili swoje posiadłości, aż w końcu w ich rękach pozostał tylko ten skrawek nieurodzajnej ziemi.

Todd McKay – ojciec Bothana – ożenił się późno, dopiero w wieku czterdziestu lat. Jego żona Matilda po kilkunastu miesiącach obdarowała go synem. Początkowo narodziny pierworodnego napełniły Todda dumą i radością, jednak z biegiem czasu, z niewiadomych dla Bothana powodów, zaczął go nienawidzić.

Będąc z natury porywczym człowiekiem, stawał się coraz bardziej nieznosnym, aż w końcu nie szło z nim wytrzymać. Jedy-
nym zajęciem, któremu oddawał się bez opamiętania, była gra
w karty. Znikał czasami na kilka dni z domu, aby powrócić cał-
kowicie splukany, urządzając żonie i synowi piekło. Szczególnie
lubił znęcać się nad Bothanem, zapędzając go do najgorszej robo-
ty. Czasami bił go i kopał, wyzywając przy tym od niedorajdów,
tępaków i głupków. Matilda chroniła syna, jak mogła, ale nie była
w stanie za wiele zdziałać.

Pewnego dnia domownicy odetchnęli z ulgą – pijany Todd
spadł z klifu i roztrzaskał się na skałach. Pomimo słabego zdrowia
Matilda nie miała innego wyjścia, jak tylko wziąć na swoje barki
odpowiedzialność za zaniedbane włości. Zmarła dwa lata po
śmierci męża, pozostawiając na łasce losu jedynaka.

Po śmierci matki Bothan się zagubił i popadł w marazm. Zro-
bił się podejrzliwy, obawiając się, że ktoś skradnie mu neuro-
dzajny kawałek ziemi. Zaopatrzył się w fuzję i zakupił wilczury.

Początkowo szarpał się na wszystkie strony; robił, co mógł,
ale im bardziej się starał, tym bardziej podupadało jego gospodar-
stwo. Nadszedł dla niego ciężki okres: kiepskie zbiory, klęski po-
godowe, epidemia wśród bydła oraz wyższe podatki. Z biegiem
czasu tracił wiarę we własne możliwości, nic go nie cieszyło, po-
padł w depresję i zastanawiał się nawet nad zakończeniem swoje-
go marnego żywota.

Od kiedy przybyła tutaj Keira, jego byt na powrót nabrał sen-
su. Uwierzył w siebie i odzyskał radość życia. Wydawało mu się,
że to on jest tutaj panem, ale w rzeczywistości to Keira górowała

nad nim inteligencją i silnym charakterem. To ona kierowała jego poczynaniami, popychając go we właściwym kierunku.

W sytuacji alarmowej Keira zabierała swoje pociechy i ile sił w nogach uciekała z nimi wąwozem w kierunku kryjówki. Czasami przenosili się tam na całe miesiące.

Keira zbierała z Sian zioła i jagody, a w międzyczasie Gabhran pilnował kóz i baranów. Byli praktycznie samowystarczalni. Mieli własne mięso, jaja, mąkę, warzywa, owoce i mleko. W ciągu kilku lat systematycznej pracy podupadłe gospodarstwo zmieniło się w przyzwoicie prosperującą farmę. Wydawałoby się, że mają wszystko, co jest im potrzebne do pełni szczęścia.

Najtrudniej wypełnić im było duchową pustkę.

Bothana męczyły koszmary. Śniło mu się robactwo, zepsute zęby i roje mrówek. Rzucił się na łóżku i mamrotał coś niezrozumiale do siebie. Czasami zrywał się przerażony w środku nocy, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje. Nie mogąc sobie z tym poradzić, sięgał po alkohol. Popijając mocny trunek, próbował uciszyć swoje sumienie. W jego duszy zalegały tajemnice, których nigdy nikomu nie ośmieliłby się wyjawić. Przed jego oczami przesuwały się zamazane, wyglądające jak trupy postacie. Zbliżały się i patrzyły na niego zakrwawionymi oczami, chcąc mu coś przekazać. Krążyły nad nim, wyciągały w jego kierunku zakończone długimi pazurami palce, zmieniały wygląd i znowu wirowały jak oszalałe. Ogarniał go lęk, wpadał w panikę. Pragnął od nich uciec, ale w miejscu trzymywała go niewidzialna siła.

Od kiedy pamiętał, nienawidził rodzica. Do matki także nie pałał miłością. Jedynie brat jego ojca, wujek Gair, był dla niego dobry. Dawał mu słodycze i głaskał go po głowie.

Kiedy Bothan podrośł i zaczął rozumieć pewne sprawy, odkrył dziwną prawidłowość. Kiedy tylko ojciec udawał się do miasta, wujek pojawiał się w ich domku i zamykał z matką w sypialni. Ukryty pod oknem Bothan słyszał skrzypienie łóżka, kwilenie, a czasami westchnienia rozkoszy. Pewnego dnia przez szparę w uchylonej firance zobaczył kłębiące się ciała i obnażone piersi. Na twarzy matki malowała się błogość. Wyczekiwał kolejnych schadzek, czerpiąc dziką przyjemność z faktu, że jego ojciec jest rogaczem.

Niestety, pewnego dnia nastąpiły komplikacje – Todd zaskoczył kochanków. Gair uciekł, trzymając w garści spodnie, ale matka nie zdążyła się nawet ubrać. Rozwścieczony mąż zdzielił ją pięścią w twarz, a kiedy upadła na podłogę, kopał ją podkutymi butami. Kiedy już wyładował swoją złość na słabej kobiecie, złapał za siekierę i udał się w głąb lasu. Sparaliżowany strachem Bothan pobiegł do obory i ukrył się w sianie, bojąc się nawet poruszyć.

Nikt nigdy więcej nie widział Gaira. Zniknął. Przepadł. Najprawdopodobniej zabity przez własnego brata. Od tej chwili w domu zapanowała grobowa cisza; przy posiłkach wszyscy tępo patrzyli przed siebie, nie wymieniając ze sobą ani słowa.

Bothan jeszcze bardziej znienawidził rodzica. Nie myślał o nim inaczej niż tylko „on”. Już nigdy nie powiedział do niego „tato”. Panicznie się go bał i nie mógł na niego patrzeć. Jedynego, czego pragnął, to się od niego uwolnić. Modlił się, aby jego drę-

czyciel przepadł. W swojej mściwej wyobraźni zabijał tego zwyrodnialca setki razy.

Pewnego dnia grabił i składał w kopy siano. Przygrzewało słońce. W powietrzu unosiły się upojne zapachy kwitnących ziół i jałowców. Wtedy pojawił się „on”. Jego kat. Prześladowca. Dogadywał mu; pouczał; przezywał od maminsynków, kalek życiowych, niedołęgów i fajtłapów. Bothan stał przed nim jak sparaliżowany i nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Najchętniej uciekłby lub zapadłby się pod ziemię.

Ojciec był pijany i pragnął pokazać swoją wyższość. Złapał leżące na ziemi grabie i zdzielił nimi młodzieńca w głowę. Okładał go bez litości, a kiedy ten upadł – kopął. Bothan zasłaniał się rękami. Miał przeciętą brew, a z nosa ciekła mu krew. Todd złapał go za włosy i powłókł w kierunku klifu. Nie obchodziło go wcale, że syn rozpaczliwym głosem prosił o litość.

Bothan uświadomił sobie, jak mało jest warty. Po raz kolejny triumfował nad nim pijak i zwyrodnialec.

Nagle coś w nim pękło – przełamał się. Zaczął zachowywać się jak wściekły pies. Kąsał i miotał się na wszystkie strony, gryząc rodzica w rękę. Gdy wyrwał się z jego uścisku, stanęli naprzeciwko siebie. Dwóch pałających do siebie nienawiścią ludzi. Był to ułamek sekundy, który być może zadecydował o dalszym życiu Bothana. Na twarzy Todda pojawiło się zaskoczenie. Bothan nie czekał. Nie był bierny, jak dotychczas. Zdobył się na odwagę i z całą siłą natarł na rodzica. Todd próbował złapać równowagę, zawisł nad krawędzią urwiska, zamachał rękami, a potem poszybował w dół.

Bothan przestraszył się konsekwencji swojego czynu. Zmoczył się, a następnie zwymiotował. Podeszedł do skraju urwiska, spojrzął w dół i zobaczył leżącą nieruchomo na najeżonych skałach sylwetkę ojca. Modlił się, aby „on” nie przeżył.

W jego głowie zapanował chaos. Grabił i składał suchą trawę na kupki, nie wiedząc nawet, co robi. Wrócił do domu, gdy zapadła noc. Matka zapytała go, czy nie widział ojca. Wpadł w panikę, nie mogąc znaleźć odpowiedzi. Patrzyła na niego, a on kurczył się pod jej wzrokiem. Jedzenie ugrzęzło mu w gardle. Zrobiło mu się słabo i znowu targały nim torsje.

Po kilku dniach ciało Todda zostało znalezione przez łowiących makrele rybaków. Sekcja zwłok wykazała, że Todd zginął na miejscu.

Szeryf w asyście oficera śledczego wypytywał Bothana o szczegóły. Dokonano obdukcji jego pokrytego bliznami i siniakami ciała. „Nieszczęśliwy wypadek” brzmiał werdykt. Koroner nie dopatrzył się ingerencji osób trzecich. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

W dniu pogrzebu, patrząc na spuszczaną do dołu trumnę, Bothan czuł mściwą satysfakcję. Od tego czasu ani razu nie odwiedził grobu. „On” przestał dla niego istnieć w chwili, gdy z jego ciała uleciała dusza.

Niestety „on” nie dawał o sobie zapomnieć. Prześladował go każdego dnia. Wczoraj także przyśniła mu się jego wstrętą twarz.

To nie wszystko. Jego matka... Powiedziałaby ktoś, że umarła na astmę. Niezupełnie – pomógł jej. Straszyla go, że sprzeda gospodarstwo, a jego wydziedziczy. Mówiła, że jest taki sam jak jego ojciec: darmozjad, pasożyt, zakała, debil. Potrafiła być bar-

dzo pomysłowa w swojej złośliwości, zabijając w nim resztki godności.

Wszystkie zarobione pieniądze przeznaczała na organizacje charytatywne. Wysyłała datki do Afryki i krajów dotkniętych klęskami żywiołowymi. On się dla niej kompletnie nie liczył.

Pewnego dnia sprzedawała dużą ilość produktów: owce, prosięta, sery, jaja, drób i wełnę. Pośrednik przyjechał ciężarówką i wypłacił należność złotymi monetami. Widział, jak niosła do domu brzęczącą sakiewkę. Poczuł się jak parobek. Po raz kolejny zdał sobie sprawę, że nic nie znaczy. Nie potrafił się nawet upomnieć o swoją dolę. Chodził w podartych spodniach, pocerowanym swetrze; w dziurawych butach, a matka powiedziała mu, że przeznaczy wszystkie pieniądze na biedne dzieci w Afryce. Patrzył na nią z bezsilną wściekłością. Zabijał ją w myślach, pragnąc usunąć ją ze swojego życia. Nie pasowała do jego scenariusza, była osobą, która burzyła jego harmonię.

Następnego dnia miała ostry atak astmy. Prosiła, aby podał jej lekarstwo albo wezwał lekarza. Udał, że nie słyszy. Nieczuły. Wyrachowany i chłodny. W swoim mniemaniu twardy. Kręcił się koło domu, jak gdyby nigdy nic. Pragnął tylko jednego – pozbyć się „przeszkody” i dorwać się do pieniędzy. Zamarzył na chwilę poczuć się panem.

Teraz i ona odwiedzała go w nocy. Prześladowali go oboje. Co ma robić?! Gdzie szukać pomocy?! Chyba zwariuje. Już nie miał sił, aby się przed tym bronić. Nigdy, przenigdy nie przyszło mu do głowy, aby wyrzucić z siebie dręczące go tajemnice.

Za oknami świstał wiatr, a w powietrzu wirowały płatki śniegu. Czasami wichura przybierała na sile, wyjąc pod strzechą, a zimne podmuchy poprzez nieszczelne okna wdzierały się do środka. W kaflowym piecu wesoło trzaskały sosnowe szczapy. W powietrzu unosił się zapach ziół i kwiatów.

Keira efektywnie wykorzystywała każdą wolną chwilę. Po zakończeniu codziennych obowiązków – w długie zimowe wieczory – porządkowała zebrane latem zioła i nasiona. Miała w tej dziedzinie spore doświadczenie. Jak mało kto znała się na ich właściwościach. W domu, stodole i na strychu wisiały pęki wysuszonego rumianku, dziurawca, pokrzyw, mięty, szalwii, melisy i lukrecji. Często wykorzystywała je do kuracji domowników. Bothan dzięki temu pozbył się bólów żołądka i zgagi. Poza tym serwowane przez nią napary z szyszek chmielu, lukrecji i kozłka lekarskiego działały na niego uspokajająco.

Do każdej potrawy, do każdego dania dorzucała garść aromatycznych przypraw mających wpływ nie tylko na smak przygotowywanego jedzenia, ale także na zdrowie członków rodziny.

Sortowała wysuszone nasiona akacji, złotokapu, jałowca ciernistego, żywotnika, bielunia oraz pestki moreli, śliwki, brzoskwiń, wiśni i czereśni. W przypadku dawkowania tych nasion musiała być szczególnie ostrożna. Wiele z nich zawierało trujące alkaloidy i glikozydy. Jednakże dozowane z umiarem miały zbawienny wpływ na zdrowie i zapobiegały wielu groźnym chorobom, w tym nowotworom.

Pracowała i rozmyślała. Dzieci dorastały. Z Sian nie miała kłopotów. Było to nader grzeczne i pojętne dziecko. Większym zmartwieniem był Gabhran. Z każdym miesiącem jego rysy twa-

rzy stawały się coraz bardziej podobne do jednego z przychodzących do jej łoża *travellersów*. Aby przeżyć w tej grupie, musiała czasami być uległą i dopuszczać mężczyzn do swojego ciała.

Najbardziej niepokoiło ją jednak to, że syn stawał się arogantki. Doszło już do pierwszych sprzeczek z Bothanem. Ten z kolei potrafił tylko w jeden sposób rozwiązywać problemy – siłowo. Pewnego dnia nie mogąc wytrzymać zachowania syna, zdzielił go otwartą dłonią w twarz. Ten spadł z krzesła na podłogę, a z jego wargi sączyła się krew. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła w oczach syna mordercze ogniki.

Próbowała negocjacji. Niestety nie pomagały tłumaczenia i perswazje. Obaj byli uparci. Gabhran potrafił zaszyć się na kilka dni w jaskini i straszył ich, że ucieknie i więcej go nie zobaczą.

W domu zapanowała atmosfera nie do zniesienia, Keira postanowiła działać. Chociażby nawet Gabhran nie był synem Bothana, to niezaprzeczalnie ona była jego matką. Czekало więc na nią trudne zadanie: wyrwanie męża i syna z objęć zacierzwienia i przywrócenie spokoju w rodzinie.

Bothan zastanawiał się, dlaczego nie jest zdolny do okazywania innym szlachetnych uczuć, takich jak: czułość, tkliwość czy miłość.

W przeszłości nigdzie nie pasował. Nigdy nie miał kolegi. Był inny.

Potrzeby seksualne uwidoczniły się u niego, kiedy po raz pierwszy zobaczył matkę w niedwuznaczej sytuacji z wujkiem. Pragnienie zespolenia się z kobietą było tak silne, że czasami myślał, że zwariuje.

Postanowił spróbować.

Pierwsza była głupkowata Lucy. Zaoferował jej słodycze i pieniądze za pokazanie piersi. Osiągnął skutek zgoła odmienny od oczekiwanego. Zrobiła się afera. Wystraszona dziewczyna powiadomiła rodziców, a ci z kolei grono pedagogiczne. Skończyło się na laniu. Ojciec krzyczał, że wypędzi z niego szatana, i bił go przez kilka dni czym tylko popadło.

Niedługo po śmierci matki pojechał na rowerze do miasta. Mrugające neony nęciły. Była sobota i przybytki uciechy pękały w szwach. Nie dziwota więc, że nie wpuszczono takiego obszarpańca do środka. Postanowił zadowolić się gorszym towarem i udał się do stojącej w parku prostytutki. Uzgodnili cenę i weszli w zarośla. Niestety znowu miał pecha – zamiast doznać cielesnej rozkoszy został pobity i okradziony. Wracając do domu, złorzeczył na nieprzyjazny mu świat, nazywając samego siebie głupcem i ofermą.

Obecnie jego życie wydawało się ustabilizowane. Miał w domu kobietę, która mu usługiwała i była jego kochanką. Jedyłą osobą, która burzyła jego spokój, był Gabhran. Męczące go koszmary i bezsenność nadwątliły jego system nerwowy do tego stopnia, że coraz częściej zastanawiał się, jak usunąć ze swojego otoczenia kolejną „przeszkodę”.

Keira zawsze wyobrażała sobie, że jest córką księżniczki. Ze swoich najodleglejszych wspomnień zapamiętała jedynie rozmazaną sylwetkę pochylonej nad nią niewiasty. Wyteżała umysł, starając się wydobyć z zakamarków pamięci dokładniejszy obraz. Gałązki. Wyraźnie widziała poruszane wiatrem, zwisające nad jej

głową zielone witki. Leżała w kołysce, w zagajniku, a nad nią pochylała się kobieta w białej opasce na głowie.

Czyżby to była jej matka? Kim są jej rodzice? Czy żyją? Czy ich kiedyś pozna?

Teraz jednak odłożyła na bok dylematy, gdyż czekała ją trudna rozmowa z mężczyzną, z którym przypadkowo połączył ją los.

Po obiedzie Gabhran i Sian udali się na położone w głębi cypla łąki. Do domu mieli powrócić wieczorem. Keira postanowiła wykorzystać nadarzającą się okazję. Usiadła naprzeciwko Bothana i zaczęła spokojnym głosem:

– Wydaje mi się, że nadeszła chwila, abyśmy poważnie porozmawiali.

– O co ci chodzi? – zapytał podniesionym głosem, starając się ukryć zdenerwowanie. Ucieczka od trudnych tematów była jego specjalnością.

Keira rozłożyła na stole talię kart.

– Wyciągnij cztery i połóż je przed sobą.

– Bawisz się ze mną we wróżby?

– Od czegoś przecież musimy zacząć. Nie uciekaj przed samym sobą, bo skończysz marnie.

Bothan drgnął. Poczuł się nieswojo.

– Uwolnij się wreszcie od swoich koszmarów! Przecież widzę, jak się miotasz! Dzisiaj masz ku temu sposobność. Jesteśmy sami. Nikt nas nie słyszy.

– Boję się – wyszeptał.

Podeszła do niego i pogłaskała go po głowie.

– Bądźmy ze sobą szczerzy. To nas wyzwoli i przyniesie nam ulgę.

– Mów, co mam robić, bo trzęsą mi się dłonie.

– Cztery – przypomniała mu, wskazując palcem talię.

Usiadł na krześle i drżącymi palcami wyciągnął z talii cztery karty, kładąc je przed sobą. Serce kołatało mu jak oszalałe. Panieńczo bał się, że jego tajemnice ujrzą światło dzienne.

Keira podeszła do niego, a on skulił się w sobie, jakby bał się uderzenia.

– Odwróć trzy karty. Tylko trzy! – nakazała mu władczym głosem.

Odwrócił trzy karty i spojrzał pytająco na Keirę.

– Mów, co widzisz! – wykrzyknął, zrywając się z krzesła.

– Nie bądź taki niecierpliwy. Pozwól mi się zastanowić. Na pierwszy rzut oka widać, że jest jeszcze dla ciebie szansa.

– Co ty bredzisz?!

– Zobacz – wskazała mu karty. – Na pierwszej dominującym motywem jest słońce, na drugiej – krew, a na trzeciej – dwa czarne kruki siedzące na drzewie.

Bothan wstrzymał oddech i zadrżał.

– Uspokój się! Pamiętaj, przed przeszłością nie uciekniesz. Tego, co się stało, nie można odwrócić. Wygląda na to, że twoje dzieciństwo było pogodne. Jednakże z biegiem czasu podejrzliwość, zazdrość i mordercze myśli zdominowały twoją rodzinę. Z ukochanego syna stałeś się, z niewiadomego mi jeszcze powodu, znienawidzony przez ojca. Widzę tutaj wyraźnie negatywny wpływ pewnego człowieka. Kogoś, kto położył się cieniem na waszej rodzinie. Pokusy ciała... pożądanie... zakazany owoc... grzech. Zatriumfowało fałszywe pojęcie szczęścia. Nastąpiła dysharmonia i zakłócony został porządek. Zacietrzewienie zdomino-

wało rozsądek. Mściwe myśli krążyły w obrębie domowego ogniska. W konsekwencji połała się krew.

Dwa czarne kruki na uschłych konarach symbolizują nocne mary, które bezustannie cię prześladowają. Odwiedzają cię i dręczą. Krążą wokół ciebie, pragnąc zabrać cię do królestwa cieni. Musisz mi wszystko szczerze wyznać. Ja widzę tylko zamazane kontury, ty znasz prawdę. Ja się domyślam, ty wiesz na pewno. Powiedz mi, kim był Gair? – zapytała go niespodziewanie na koniec.

Bothana ogarnęło przerażenie. „Wszystko wie, diablica. Czyta w moich myślach” – przeleciało mu przez głowę.

– Wyrzuć wreszcie z siebie tę zarazę! Inaczej będziesz smażył się w piekle. To nie tchórzostwo, ale wręcz heroiczna odwaga dokonać oczyszczenia. To twoja niepowtarzalna szansa. Ostrzegam cię: nie popełniaj błędów swoich poprzedników – wyrzekła, chcąc zachęcić go do zwierzeń.

Pogubił się, nie wiedząc, co jest odwagą, a co nie. Nie miał pojęcia, co jest szlachetne, a co podłe. Nikt nigdy nie nauczył go rozróżniać tych pojęć.

– Skąd znasz to imię? – zapytał.

– Miotasz się przez sen i mamroczesz coś do siebie. Prawie każdej nocy nawiedzają cię demony. Dręczą cię i o coś proszą. Może o modlitwę, a może chcą ci pomóc. Twoją jedyną szansą jest szczerza spowiedź. Tu i teraz...

– Ty tego nie zrozumiesz – przerwał jej, łapiąc się za głowę.

– Dobrze, pomogę ci. Napij się tego naparu – podsunęła mu fajansowy kubek. – To cię wzmocni, uspokoi i doda odwagi.

Pociągnął dwa hausty cierpkiego napoju.

– Co to jest, trucizna?! – wykrzyknął, plując i odsuwając garnuszek od siebie.

– Uspokój się, furiacie. Czy ty nikomu nie wierzysz i wszędzie widzisz zagrożenie? – powiedziała oburzona, biorąc do ręki naczynie i upijając łyk ziołowej herbatki. – Widzisz? Jeszcze żyję. To tylko zalane gorącą wodą szyszki chmielu, lukrecja, kozłek lekarski i odrobina kolendry – dodała złośliwie.

Wyjawił jej wszystko. Czasami Keira dopytywała o szczegóły. Kilka razy zeszytywniała ze strachu.

– Zbierzmy to wszystko do kupy i podsumujmy. Wydaje mi się, że niepotrzebnie doszukujesz się w sobie niedoskonałości. To strach i wypaczona osobowość uczyniły z ciebie bezuczuciowego człowieka. To brak wiary we własne siły uczynił z ciebie zakompleksionego osobnika. Już w szkole czułeś się nikim. Śmieciem. Nikt nie zwracał na ciebie uwagi. Podejrzewałeś, że wszyscy spiskują przeciwko tobie. Myślałeś, że to jest zmowa. Podział na lepszych i gorszych. Widziałeś dziwne spojrzenia; niektórzy szepotali coś za twoimi plecami. Nie pozwalano sobie z tobą na poufałość, której tak bardzo pragnąłeś i za którą byłbyś skłonny drogo zapłacić. W domu też nikt nie głaskał cię po głowie, nie przytulał. Zamiast tego spotykało cię niezasłużone prześladowanie. Jako dziecko przeszedłeś piekło i aż dziwota, że nie oszalałeś. To wszystko pchnęło cię w złym kierunku. Popełniłeś nikczemne czyny. Zmagasz się teraz z przeszłością i nie potrafisz sobie z nią poradzić. Zanim odkryjesz czwartą kartę, która będzie dla ciebie drogowskazem na przyszłość, pragnę zadać ci kilka pytań.

Kiwnął głową, że się zgadza.

– Co czułeś, gdy prześladował cię ojciec?

– Nienawiść. Setki razy zabijałem go w myślach – odpowiedział.

– Co czułeś, kiedy umierała twoja matka, a ty udawałeś, że nic się nie dzieje?

– Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy po pogrzebie matki, to dorwać się do pieniędzy i wydać je na alkohol i dziwki. Zapragnąłem na moment poczuć się lepszym.

Zapadła cisza.

– Na pewno to, co ci teraz powiem, będzie dla ciebie szokiem. Dowiesz się rzeczy, które cię zaskoczą – odparła Keira. – Bycie sierotą czy znajdą nie jest łatwe. Przetrwanie w grupie, w której traktują cię jak śmiecia, wymaga ogromnych poświęceń. Od trzy-nastego roku życia wykorzystywano mnie seksualnie. Pomimo że stosowałam środki plemnikobójcze, dwa razy zaszłam w ciążę. Jedno z moich dzieci sprzedano, drugie poroniłam. Moje łzy i błagania nie robiły na nikim wrażenia. Mało tego, zmuszano mnie do karmienia moim mlekiem inne niemowlęta. Wyssano ze mnie życiodajne soki i zmuszano do wykonywania najpodlejszych zajęć. W dzień usługiwałam kobietom, a nocą zabawiali się ze mną mężczyźni. Początkowo próbowałam walczyć, bronić się, ale bito mnie i karano. Krępowano mnie sznurem, ograniczając moją swobodę. Nienawidziłam moich prześladowców i życzyłam im śmierci.

W końcu zmańdrzam. Udawałam pokorną. Dano mi więcej luzu. Pozwolono na więcej. Uzbierałam trochę pieniędzy i na jednym z jarmarków zakupiłam toksyczny owoc. Zawierał trzy okrągłe nasionka. Kulczyba wronie oko, tak nazywa się ta roślina zawierająca trujące alkaloidy, przede wszystkim strychninę. Stosuje

się ją w lecznictwie, ale trzeba być niezwykle ostrożnym w jej dawkowaniu. Wypróbowałam jedno z nasion na psie – zdechł jeszcze tego samego dnia. Będąc pewną, że nie sprzedano mi trefnego towaru, postanowiłam otruć swoich katów. Na całe szczęście moje mordercze plany nie zostały zrealizowane. No, może niezupełnie. W dniu, w którym tutaj dotarłam, jedna z kobiet grzebała w moich rzeczach i wzięła jedno z nasion w celu uśpienia nieszczęsnego gospodarza. Przez moją głupotę i niedbalstwo zginął niewinny człowiek. Jak widzisz: oboje jedziemy na tym samym wózku – zamilkła. Ogarnął ją strach i ugięły się pod nią nogi. – Jest jeszcze jedna sprawa – kontynuowała, czując, jak robi jej się słabo. Słowa ugrzęzły jej w gardle. – Gabhran... wydaje mi się... muszę to powiedzieć... to nie moja wina... on może nie być...

Zerwał się z krzesła, a jego twarz była biała jak płótno.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że...?

– To właśnie chcę ci powiedzieć. Pragnę dzisiaj wyjaśnić wszystkie wątpliwości, bez względu na konsekwencje. Przecież nie miałam pojęcia, że się tutaj znajdę. Wykorzystali mnie... nie jestem pewna, czy faktycznie jesteś ojcem tego dziecka.

Bothan wyglądał jak oszalały, a oczy świeciły mu dziwnym blaskiem. Jego świat ponownie walił się w gruzy. Biedny, słaby człowiek popadający w rozpacz przy każdym niepowodzeniu.

– Takie są fakty. Musiałam ci to wyznać, gdyż uważam, że nie powinnam ukrywać przed tobą niczego. Nie mogę ci mówić tylko tego, co jest dla mnie wygodne. Może z tobą było podobnie.

Popatrzył na nią pytającym wzrokiem, nie wiedząc, o co jej chodzi.

– Wspominałeś mi kiedyś, że początkowo ojciec był dla ciebie dobry. Kupował ci zabawki, słodycze, zabierał na polowania i wspólnie łowiliście ryby. Od kiedy blisko was pojawił się Gair, wszystko się zmieniło. Zasiane zostały ziarna niezgody. Kielkowały powoli, by w końcu wybuchać w chwasty nienawiści. Może twoja matka powiedziała coś, co uruchomiło lawinę nieszczęść. Wiesz, jak to jest w złości. Na przykład, że nie jesteś jego synem. Nakręciła się spirala. Zburzona została harmonia. Twój ojciec stawał się podejrzliwy i nieufny, kierując całą swoją złość na ciebie. Nie potrafił rozwiązywać problemów w cywilizowany sposób. Nie popełniał tych samych błędów. Dokładnie tak samo, jak ty się wtedy czułeś, czuje się obecnie Gabhran. Traktując go jak bękarta, wpędzisz go w podobne kompleksy, w jakie sam się wpędziłeś. Traktując go surowo, narażasz się z jego strony na taką samą nienawiść, jaką żywiłeś do swojego ojca. Proszę cię, nie gotuj nam takiego samego piekła, jakie zgotował wam twój rodzic. Bądź mądry i wyciągnij z tamtej lekcji odpowiednie wnioski. Pomyśl o tym wszystkim, zanim podejmiesz ostateczną decyzję.

Sięgnęła po skórzaną sakiewkę i wyciągnęła z niej płaskie, okrągłe nasionko o średnicy około dwóch centymetrów. Z jednej strony wypukłe, z drugiej wklęsłe, pokryte szarymi włoskami rozchodzącymi się do środka.

– Zobacz, wrzucam go do paleniska. To ostatni trujący relikwiot mojej przeszłości – otworzyła drzwiczki i wrzuciła nasionko do ognia. – Ty także wyrzuć z siebie jad i toksyny. Najgorsze mamy już za sobą. Najważniejsze, że odważyliśmy się zrobić pierwszy

krok. Nie zmarnujmy tej szansy, nie poddawajmy się niezdrowej rywalizacji i zaciętrzewieniu.

Bothan odwrócił ostatnią kartę. Widniał na niej wizerunek słońca, czarny krzyż i kilka złotych krawców.

– Twoja przyszłość wygląda dobrze. Słońce symbolizuje radosne dni. Natomiast złote kółeczka oznaczają, że będziesz bogaty. Co więcej, skarb znajduje się na tej posesji. Najprawdopodobniej w pobliżu krzyża. Tylko tyle mogę ci powiedzieć, bowiem przyszłości nie da się w stu procentach przewidzieć.

Wieczorem Bothan złapał butelkę wódki, usiadł na ławce za walącą się szopą i sęczył alkohol. Rozmyślał. Zastanawiał się, jak powinien postępić. Zauważył bowiem, że jego zachowanie nie różni się niczym od zachowania jego ojca. Być może także jego dziadek, a może i pradziadek postępowali dokładnie tak samo w stosunku do swoich dzieci. Z pewnością fałszywe przekonanie o własnej wyższości było tradycją w tej rodzinie. Jeżeli się nie przełamie i nie zmieni tej okrutnej reguły, może doprowadzić do tragedii. Nie siła, nie zaciętrzewienie, nie okazywanie dominacji, ale dobroć i kompromisowe rozwiązywanie problemów może okazać się kluczowe w przyszłości.

Wyrzucając z siebie dawno skrywane sekrety, poczuł się lepiej. To tak, jakby doznał samooczyszczenia i rozpoczął nowy rozdział życia. Musi się przemóc i zrobić pierwszy krok w kierunku przywrócenia normalności w rodzinie. Czego chce? Co mu się marzy? Przecież ma wszystko. Kobięę, która o niego dba. Dzieci? Może Gabhran nie jest jego synem, ale to wcale nie upoważnia go do tego, aby upokarzał go i traktował jak bękart.

Siedział jeszcze za drewnutnią, kiedy wrócili z pola. Gabhran i Sian – jego ukochana córka. Rozmawiali; żartowali. W miarę zbliżania się do zabudowań ich wesołość przygasała. Czyżby powrót do domu kojarzył im się z udręką? Czyżby to on był powodem ich zatroskania? Czyżby obawiali się potwora? A więc to nie kto inny, tylko on jest zawadą w tym domu. Balastem. Kulą u nogi. W końcu – „przeszkodą”.

Nie dziwota. Ciągłe smutny. Markotny. Nieufny. Niepotrafiący się cieszyć. Myślący wyłącznie o sobie. Nieostrzegający potrzeb innych. W końcu: niedoceniający tego, co już posiada.

Na stole stały okraszone brunatnymi skwarkami pełne miski kaszy. Na blacie pieca w żeliwnej brytfannie dusiła się baranina. W powietrzu rozchodził się zapach czosnku, cebuli oraz ziół z wyrazistą nutą rozmarynu i tymianku.

Gabhran jak zwykle był niespokojny. Kręcił się na wszystkie strony, drapał po głowie i wydłubywał sobie brud spod paznokci. Keira bez przerwy go upominała. Sian była zupełnie odmienna. Spokojna i opanowana. Zatopiona we własnych myślach. Patrząca łagodnym wzrokiem przed siebie. Tak, jakby wcale jej nie obchodziło, co się wokół niej dzieje.

Kiedy pijany Bothan wszedł do kuchni, wszyscy niespokojnie poruszyli się, a w pomieszczeniu zapanowała cisza. W dłoni mężczyzny tkwiła butelka. Z jego twarzy nic nie można było odczytać. Z doświadczenia wiedzieli, że czasami w takim stanie potrafił być potulny jak baranek, a czasami zachowywał się jak dzika bestia. Pewnego razu w pijackim amoku roztrzaskał talerz z jedzeniem o ścianę kuchni.

Wyczekiwali w napięciu. Wstrzymali oddechy i spuścili głowy. Gabhran zacisnął dłonie tak mocno, że aż zbieleły mu kciuki. Na jego twarzy ukazał się wyraz zaciętrzewienia. Wystarczyła maleńka isierka, aby nastąpiła niekontrolowana eksplozja. Wybuch, który mógłby dokonać straszliwego zniszczenia.

Bothan zbliżył się na chwiejnych nogach do zlewu, odkręcił zakrętkę i wylał do niego zawartość butelki. Następnie podszedł do stołu, oklapnął na krzesło i powiódł zamroczonym wzrokiem po siedzących przy nim domownikach.

– Wybaczcie mi – wybełkotał. – Od obiadu nic nie miałem w ustach. Piłem na pusty żołądek, więc jestem nieco wstawiony. Od jutra będzie inaczej. Koniec z alkoholem. Poprawię się... mam za dużo do stracenia – mamrotał pod nosem, grzebiąc łyżką w kaszy. – Otworzę tę przeklętą bramę na oścież i udacie się w szeroki świat. Gabhran będzie uczył się zawodu, a Sian pójdzie do szkoły – kontynuował coraz słabszym głosem.

Popatrzyli na niego zdziwieni. Jeszcze nigdy go takiego nie widzieli. Wspaniałomyślny, dobrotliwy i wyrozumiały. Podejrzewali, że to wpływ alkoholu.

– Gabhran, wybacz mi. Nie byłem dla ciebie dobrym ojcem. To się zmieni, przyrzekam ci.

Obtarł rękawem tłuste usta, podszedł do syna i uściskał go. Gabhran zeszywniał, nie będąc przyzwyczajonym do okazywania mu takich czułości. Być może matka napoiła go jednym ze swoich wywarów. Odrzucił rękę Bothana i powiedział:

– Nie trzeba... zostaw...

– Wybaczcie mi, pozwólcie mi odkupić winy. Będę dobry... nie myślcie o mnie „on”, proszę. Podajcie mi pomocną dłoń, gdy

upadnę na ziemię, nie udawajcie, że nic się nie dzieje, że tego nie widzicie, bo ja... tak zrobiłem. Białe kości... mary, straszidła. Czarny krzyż i skarby...

Obrócił się i skierował się w stronę sypialni. Popatrzyli na siebie zdumieni. Może opił się szaleju? Może pomieszało mu się w głowie? Keira podeszła do dzieci i objęła je rękami.

– Co on bredzi? Jakie kości, jaki krzyż, jakie skarby, czy coś z tego rozumiesz? – zapytał ją Gabhran.

– Wybaczcie mu. Miał trudne dzieciństwo. Sto razy gorsze od waszego. Został obdarty z godności. Nie miał nikogo, kto pokierowałby jego życiem. Zagubił się na krętych ścieżkach i popełnił błędy. Mam nadzieję, że od dzisiaj będzie już kroczył właściwą drogą i wyrwie się ze szponów przeszłości. Uwierzcie mi: czasami odnalezienie samego siebie jest najtrudniejszą rzeczą na świecie.

Pierwszy raz od dłuższego czasu spał spokojnie. Obudził się rankiem, usiadł na łóżku i zastanawiał się przez chwilę: co jest nie tak. Obok niego było puste miejsce. Panowała cisza. Żadnego odgłosu. Przeraził się. Czyżby go opuścili? Nie! To niemożliwe! Zerwał się z łóżka i pobiegł do kuchni. Nikogo. A więc to prawda. Wybiegł na zewnątrz, oparł się o framugę drzwi i odetchnął z ulgą. Keira rozwieszała pranie, a dzieci oporządzały bydło w oborze. Zawstydzony cofnął się z powrotem do środka. Usiadł na krześle, ujął w dłonie głowę i przyrzekał, że stanie się lepszym człowiekiem.

Następnego dnia wybrał się do miasta i wstąpił do kościoła. Zamoczył dłoń w święconej wodzie, a w jego głowie zaświtała

myśl, aby się wypowiadać. Ustawił się w kolejce do konfesjonalu.

Bał się do tego stopnia, że ze strachu ugięły się pod nim kolana. Walczył ze sobą i zadawał sobie pytanie, czy wystarczy mu odwagi. W pewnym momencie nawet chciał wziąć nogi za pas i opuścić boży przybytek. Zdawał sobie jednak sprawę, że aby uzyskać pełne rozgrzeszenie, musi szczerze wyznać spowiednikowi wszystkie popełnione przez siebie grzechy.

Drżał i trząsał się jak osika na wietrze, kiedy wyrzucał z siebie ciężący mu balast.

Po dokonanych oczyszczeniu i odmówieniu pokuty udał się na cmentarz, aby zapalić świece na zaniedbanych grobach rodziców i pomodlić się za ich dusze. Kiedy stał nad mogiłą ojca i próbował wymówić słowo „tato”, ugrzęzło mu ono w gardle.

Szukali wszyscy. Najpierw na cmentarzu, potem wokół kapliczki. Nic, ani odrobiny drogiego kruszcu. Złota, które otworzyłyby im wrota i wpuściłyby tutaj powiew wolności.

Miejsce wiecznego spoczynku. Pordzewiałe krzyże; porośnięte mchem pomniki, na których ktoś kiedyś wyrył imiona, nazwiska, daty urodzin i zgonów; kruszące się nagrobki i zapadnięte groby. Wszystko zarośnięte zielskiem, powojami i chwastami.

Przekopywali, przeszukiwali i przetrząsali teren centymetr po centymetrze. Znaleźli tylko zbutwiałe deski, ludzkie czaszki, szkielety i pobielające kości.

Bothan przypomniał sobie, że kiedyś nad jednym z urwisk stał drewniany krzyż. Nie pamiętał nawet, kto i po co go tam postawił. Udał się w tamtą okolicę, starając sobie przypomnieć, gdzie do-

kładnie znajdowało się to miejsce. Zaglądał pod każdy głaz, kamień i skałę.

Znowu nic.

W miarę upływającego czasu ich wiara w powodzenie została zastąpiona zwątpieniem. Ich determinacja – niechęcią. Łudzili się, że może, może... kiedyś.

Sian poruszała się bezszelestnie, opanowując do perfekcji sztukę kamuflażu. Wtapiała się w tło otoczenia, nie będąc przez nikogo zauważoną. Czasami przykucnęła lub przystanąła w jakimś kącie. W tym czasie przechodzili obok niej domownicy niezdarzający sobie sprawy z jej obecności.

Według niej woda i słońce oznaczały życie. Deszcz stanowił dla niej źródło inspiracji. Każdy inny; każdy niepowtarzalny: kapuśniaczek, mżawka, ulewa. Wiatr. Czy może być coś romantycznego w wietrze? Oczywiście. Powiewy, podmuchy, porywy, szkwały. Szumiące, świszczące, wyjące i ryczące.

Najbardziej jednak urzekały ją połączone dźwięki deszczu, wiatru i burzy. Dla niej była to wysublimowana melodia nieokreślonych żywiołów tworzących jedyną w swoim rodzaju symfonię. W jej duszy w takich chwilach grała radosna muzyka. Odzywały się bębny, gongi, dzwonki i kuranty. Wszystko stawało się wtedy piękniejsze, łatwiejsze i prostsze.

Będąc jeszcze dzieckiem, odkryła źródelko usytuowane na szczycie pagórka. Wyciekająca ze źródła woda płynęła strużkami w dół zbocza, tworząc po drodze sadzawki, bajorka, kałuże i rozlewiska. Na samym końcu woda zbierała się w stawku i wypływała z niego wyżłobionym korytem wprost w wąską skal-

stą gardziel. Był to więc zamknięty obieg. Doskonały system, podobny do krwiobiegu. Woda była tłoczona z głębin ziemi przez tajemniczą pompę, spełniała pożyteczną rolę i z bulgotem wracała do wnętrza.

Czasami ciśnienie wypływającej wody było tak duże, że przybierała ona formę miniaturowej fontanny. W zależności od pory roku zmieniała się także jej temperatura. W lecie była zimna, w zimie – gorąca. Niekiedy unosiły się nad nią opary i czuć ją było siarką.

Keira z niepokojem obserwowała zachowanie syna. Pomimo że Bothan robił wiele, aby zjednać sobie jego przychylność, Gabhran pozostał obojętny na jego zabiegi. Sama próbowała kilka razy pogłaskać go po głowie i powiedzieć mu miłe słowo, ale on ostentacyjnie odtrącał jej rękę.

Ostatnio zauważyła, jak przygląda się Sian. Znała to spojrzenie. Wielokrotnie patrzono na nią w ten sposób. Wynaturzeni *travellersi* współżyli z kuzynkami, siostrami, a nawet matkami. Liczyło się tylko zaspakajanie ich prymitywnych żądz.

Gabhran ostatnio znikał na całe dni, a raz wyczuwała od niego alkohol. Podejrzewała, że wymyka się poza granice posesji. Być może okrada okolicznych rolników, tak samo jak robi to jego prawdziwy ojciec.

Przez jego niefrasobliwość, bezmyślność i brak dyscypliny wszyscy mogą uciepieć.

Regularnie czytała przywożone przez Bothana gazety i dobrze wiedziała, że za murem panowała anarchia. Utarty porządek świata walił się w gruzy. Zaczął dominować chaos i bezprawie. Do władzy dochodzili przestępcy i hultaje. Przyzwoici ludzie zmie-

niali się w drapieżców. Uczciwi obywatele organizowali się w grupy. Urządzano polowania na rzeczywistych i domniemanych przestępców. Zabijano bez skrupułów włóczęgów i ludzi marnej reputacji.

Bothan pozostawił sobie sześć najbardziej zajadłych wilczurów. Dwa z nich pilnowały podwórza i bramy. Dwa następne hałasowały za płotem odgradzającym pastwiska od zabudowań gospodarczych. Jeden zawsze chodził z gospodarzem, a ostatni – najbardziej zajadły – pilnował szopki usytuowanej na odległych łąkach.

W drewnianej, walącej się konstrukcji oprócz siana znajdowało się dobrze zamaskowane wejście do piwnicy, z której prowadził wąski korytarz do jaskini. Miejsce to stanowiło ich główną kryjówkę.

Keira przeczuwając nadchodzące kłopoty, rozpoczęła ewakuację. Z ich dotychczasowego lokum zostały wyniesione wszystkie przedmioty i ubrania mogące wzbudzać podejrzenia.

Przygotowywano się na najgorsze.

Jako dzieci spali w jednym łóżku. Dopiero nieco później, gdy Sian podrosła, do małego pokoiku dostawiono leżankę.

Pewnego dnia w środku nocy obudziła ją burza. Za oknem szalała wichura, a zygzakowate błyskawice przecinały niebo. Wtedy zobaczyła Gabhrana. Patrzył na nią dziwnym wzrokiem. Myślała, że zaraz się na nią rzuci. Wystraszyła się, przeczuwając zagrożenie. Jeszcze tego samego dnia kategorycznie zażądała osobnego pokoju. Był z tym jednak kłopot – brakowało miejsca.

Na stryszkach znajdowały się tylko dwa pomieszczenia. Jedno z nich stanowiło coś w rodzaju magazynu-spichlerza. Stały w nim okute blachą skrzynie, w których trzymano ziarno; gliniane pojemniki z pokrywami, w których przechowywano wyłuskana fasolę, groch, suszone nasiona i grzyby; do krokwi przywiązane były kolby kukurydzy, splecione warkocze czosnku i cebuli oraz wiązanki rumianku, dziurawca, mięty, lawendy i tymianku. Pomieszczenie to zawsze było przesycone mieszaniną różnorodnych aromatów.

Drugie było typową rupieciarnią. To w niej Bothan za pomocą kilku listew i pilśniowych płyt wyodrębnił skromne lokum. Pomieszczenie było tak małe, że z trudem mieściło się w nim łóżko. Całość wyposażenia uzupełniał mikroskopijnych rozmiarów stolik, taboret i szafka.

Okno – jedyne źródło światła – stanowiła najwyklesza drewniana ramka z szybą wciśnięta we wnękę kamiennego muru. To przez nie wpadały słoneczne promyki, a przez szpary pomiędzy futryną a murem napływało powietrze. Pomimo że Sian nie mogła go otworzyć ani też za dużo przez nie zobaczyć, nazwała je „okienkiem na świat”.

Wreszcie czuła się u siebie. Zamykała drzwi na skobel, mając pewność, że nikt nie zakłóci jej spokoju. Miała poczucie prywatności. To tutaj mogła przebywać sam na sam ze swoimi myślami.

Gabhran przechodząc ciasnym korytarzem łączącym dwie jasnie, zauważył, że płomień świecy kieruje się ku dołowi. Pochylił się, uklękł i odkrył szczelinę pomiędzy skalnymi blokami. Wiedziony ciekawością, wsunął się w rozpadlinę, próbując prze dostać się jak najdalej.

Od tej pory, dzień w dzień zagłębiał się w otchłanie ziemi, pokonując nowe przejścia i korytarze. Z czasem zaopatrzył się w latarkę i komplet baterii. O swoim odkryciu nikogo nie poinformował.

Mijały dni, tygodnie, miesiące, a Gabhran spędzał każdą wolną chwilę w skalnych rozpadlinach. Nie przejmował się kapiącą mu na głowę wodą, oślizłymi ścianami i zwisającymi pajęczynami. Czasami nad jego głową przelatywał nietoperz.

W końcu labirynt wyprowadził go poza mury posesji.

Dokonał eskapady w głąb lądu i dotarł do usytuowanego na obrzeżach wioski domku. Miał pecha – wyczuł go pies. Wycofał się, nie chcąc wzbudzać podejrzeń. Powrócił w to samo miejsce po kilku dniach i podrzucił czujnemu kundlowi kawałek nafaszerowanego trucizną mięsa.

Teraz mógł już spokojnie podejść bliżej chatki i obserwować, co dzieje się w środku. Mieszkała w niej staruszka. Lata ciężkiej pracy i wiek spowodowały, że mocno się garbiła.

Pewnego dnia pod jej nieobecność dokonał włamania, ukradł drobną sumę pieniędzy i kilka butelek wina. Po dokonanych rabunku podpalił zabudowania. Schował się za drzewo i patrzył jak urzeczony na wydobywające się ze środka płomienie i kłęby siwego dymu. W powietrzu unosiły się sadze; wirowały iskry; trzeszczały palące się elementy drewnianej konstrukcji, a on rozkoszował się dokonanym dziełem. Czuł dziką przyjemność i rozpierała go duma.

Odkrył nową podniętę. Plądrował opuszczone chaty; okradał samotnych ludzi; buszował w pozostawionych bez nadzoru przedsiębiorstwach. Podpalał stogi siana, łąny dojrzałego zboża, stosy

drewna i sterty słomy; drewniane szopki i opuszczone stodoły; porzucone samochody i składowiska starych opon.

W okolicy zapanowała panika. Ludzie poczuli się zagrożeni. Wzmocniono policyjne patrole oraz ustanowiono dyżury obywatelskie.

Jak dotychczas nie natrafiono na najmniejszy ślad sprawcy.

Pracowali na poletku kukurydzy. Obcinali dojrzałe kolby i wrzucali je do wiklinowych koszy. Z nieba lał się słoneczny żar – trochę nietypowa pogoda jak na tę porę roku. Ich odkryte części ciała pokrył gryzący kurz, a pot spływał im strumieniami po policzkach i plecach. Nagle psy podbiegły do bramy i zaczęły zaciekle ujadać.

– Alarm! – wykrzyknęła Keira.

– Do groty! – wtórowała jej Sian.

Na twarzy Gabhrana pojawiło się przerażenie. „Przyszli po mnie” – przeleciało mu przez głowę.

„Co się dzieje? Kogo tutaj przywlekło?” – pomyślał Bothan.

Wiedzieli dokładnie, co mają robić. Keira, Sian i Gabhran pognali ile sił w nogach w stronę drogi wiodącej na pastwiska. Bothan w tym czasie podchodził do bramy.

– Kto tam i po co przybywasz? – odezwał się buńczucznym głosem.

– Szeryf z ludźmi. Otwieraj bramę, bo wysadzimy ci ją w powietrze.

Na zewnątrz rozległa się salwa śmiechu.

Bothan odwrócił do tyłu głowę, upewniając się, że już nikogo nie ma w zasięgu wzroku. „Niech jeszcze sobie poczekają” – pomyślał.

Rozległo się ponowne, tym razem natarczywsze kołatanie w bramę.

– Otwieraj, bo nam się spieszy – odezwał się szeryf.

Bothan zwlekał jeszcze kilka minut, tłumacząc, że musi uspokoić psy.

Było ich pięciu. Trzymali w dłoniach karabiny i sztucery. Szczególną uwagę przyciągał wysoki i czerstwy na twarzy osobnik. Na rękawach jego kurtki widniały naszywki: „odział specjalny”. Przy boku miał przytroczone kajdanki, granaty i dwa futerały. W jednym z nich znajdował się rewolwer, w drugim pokazanych rozmiarów nóż. Przez plecy miał przewieszoną trójlufkę (ekspres-dryling) z dwoma lufami gwintowanymi i jedną o gładkim przewodzie.

– Ten człowiek poszukuje groźnego przestępcy – rozpoczął szeryf, wskazując na osobnika w czerni. – Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zbiegły z więzienia zabójca znajduje się w tutejszych górach. Pozwolisz nam się tutaj rozejrzeć – stwierdził raczej, niż zapytał, szeryf.

Bothan zaniepokoił się. Takich ludzi jeszcze nigdy tutaj nie gościł. Na pewno przedstawiciele prawa przetrząsną jego posiadłość i natkną się na ślady obecności pozostałych członków rodziny.

– Momencik – odezwał się wysoki funkcjonariusz, podnosząc do góry rękę. W rzeczywistości był to doskonale przygotowany

do przeprowadzania profesjonalnych akcji porucznik. Rzeczowy, kompetentny i odnoszący się do każdego z szacunkiem. Nie podzielał prostackiego zachowania szeryfa i jego kompanów. Wpajało mu bowiem, że więcej można osiągnąć, używając dyplomacji.

– Dokładnie obejrzelismy okalający twoją parcelę mur i muszę przyznać – solidna robota. Nie ma w nim żadnej dziury ani wyrwy. Z tego wynika, że jedyną drogą dostępu do tej posesji jest brama. Pozwolisz, że zamienię z tobą kilka słów na osobności, a wy chłopcy odpocznijcie sobie chwilę w cieniu – powiedział, wskazując im ławkę.

Weszli do domku. Potężna sylwetka oficera ledwie mieściła się w drzwiach. Jego czujne oczy dostrzegały najmniejsze szczegóły. Usiedli naprzeciwko siebie. Z twarzy funkcjonariusza emanował spokój.

– Myślę, że możemy spokojnie porozmawiać. Przysięgam ci, że nic nie wyjdzie poza mury tego pomieszczenia. Powiedz mi szczerze, kto tu z tobą mieszka?

„Co mam mu odpowiedzieć? Boże, to już koniec. Co robić, co robić?” – bał się i dygotały mu dłonie.

– Panie oficerze – rozpoczął płaczliwym głosem. – To moja wina. Niech pan ich zostawi... tak jakoś wyszło...

– Spokojnie, mój chłopcze. Mów mi Joe. Widzę, że oboje mamy coś do ugrania. Nie chcę burzyć twojego spokoju, interesują mnie tylko wyniki. Za to mnie rozliczają, rozumiesz? Mam gdzieś, ilu was tutaj mieszka. Wystarczy mi twoje zapewnienie, że nie są to groźni przestępcy. Przejdźmy od razu do sedna – wyciągnął z kieszeni czarny notes i coś w nim zanotował. – Umówmy

się tak: ja przymykam oko i nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje, ty natomiast dasz mi słowo, że będziesz ze mną współpracował. Zostawię ci mój numer telefonu, na który zadzwonisz, jeśli tylko zauważysz, że ktoś podejrzany kręci się w tej okolicy. Musisz jednak wiedzieć, że nie interesują mnie płotki. Na przykład kłusownicy, czy złodzieje owiec. Nie zadawałam się ochłapami, poluję na grubego zwierza. Najprawdopodobniej w tej okolicy ukrywa się niebezpieczny kryminalista, a na pewno lokalny rabus i piroman.

Wkrótce pojawią się tutaj wywiadowcy, psy gończe i łowcy głów. Przetrząsną każdy kawałek ziemi i wyniuchają wszystko. Zapamiętaj to sobie: ich także rozliczają za wyniki. Oni jednak nie mają skrupułów ani litości, chowają się za przepisami prawa. Czasami zanim dorwą jednego groźnego zbira, ucierpi kilku niewinnych ludzi. Myślę, że się dobrze zrozumieliśmy – wstał, uśmiechnął się do Bothana i poklepał go poufale po plecach.

W tym czasie szeryf prowadził ze swoimi ludźmi ożywioną rozmowę.

– To zbzikowany facet. Ostatni potomek rodu. Prymityw i śmierdziel. On nawet nie potrafi dobrze pisać ani czytać. Popatrzcie tylko, jak mieszka. Trzeci świat, średniowiecze, a może nawet epoka kamienia łupanego. Motyka, widły, łopata, grabie – to jego podstawowe narzędzia. Jeszcze do niedawna nie było tutaj elektryczności ani telefonu – kręcił z niedowierzaniem głową.

– On chyba jeszcze nigdy nie jechał samochodem, a co tu dopiero mówić o lataniu samolotem. Ha, ha, ha – zaśmiał się jeden z policjantów.

– Ciekawe, czy kiedykolwiek widział gołą kobietę? – wtórował mu drugi.

– A mało to kóz i owiec? – wtrącił inny.

– Dzisiaj kózka, jutro owieczka. Widzicie go, jaki pomysłowy. Dobrze go nazwali: „kozi bobek”, „wypierdek”. Kto i po co wybudował ten mur?

– Wznosili go przez stulecia. Wszystkie pokolenia. Zamierzali nawet wybudować zamek. To niefortunna rodzina. Nieudacznicy, pijacy i fanatycy, mający bzika na punkcie własności. Czego on się boi? Czego broni? Kto go napadnie? Dziwak i tyle – podsumował szeryf.

Przerwali rozmowę i odwrócili głowy. Z domku wychodzili Bothan i Joe, taszcząc ze sobą stół.

– Nasz gospodarz postanowił ugościć strudzonych wędrowców. Ponoć tu taka tradycja. Zrobimy sobie piknik na świeżym powietrzu – oznajmił im porucznik. – Czym chata bogata. Częstujcie się panowie.

Do stołu zasiadło pięciu wygłodniałych mężczyzn. Całodzienne wędrowka po górach mocno nadwątlila ich siły. Nie dziwota więc, że propozycja poczęstunku przypadła im do gustu.

Na stole pojawił się chleb, placek drożdżowy, rozpływające się w ustach masło, aromatyczne płaty wieprzowej szynki, pieczeń wołowa, wędzona kiełbasa i kilka odmian smakowitego sera.

Umilkły rozmowy. W powietrzu rozchodził się tylko odgłos uderzających o talerze sztućców, siorbanie kawy i mlaskanie języków. Kręcono głowami, nie mogąc uwierzyć, że na takim zadupiu można spożyć taki królewski posiłek. Żadnych konserwantów ani ulepszaczy; wszystko naturalne, zdrowe i apetyczne. Do tego

pełne urozmaicenie. Co za smak i aromat! Co za rozkosz w gębie! Mniem, mniem! Palce lizać! A po dzisiejszej eskapadzie apetyty mieli naprawdę wielkie.

Bothan starał się należycie wypełnić rolę gospodarza. Związał się biedak jak w ukropie, krążąc pomiędzy kuchnią a stołem. A to dolewał kawy, a to dokroił placaka.

Goście myśleli, że już ich dzisiaj nic nie zaskoczy. Jak się okazało, byli w błędzie. Bo oto nie wiadomo skąd na stole pojawiły się pękate kieliszki oraz zakurzona butelka pitnego miodu. Na pytanie gospodarza, czy zaakceptują kieliszek czegoś na trawienie, odpowiedzieli zgodnym chórem: tak!

Zabrzączało szkło o szkło. Trącano się kieliszkami. Chwalono gospodarza, głaskając się wymownie po brzuchach. Szeryf nawet uszczypnął poufale Bothana w policzek. „Swoją chłop” zwracano się do niego, klepano po plecach i obiecano mu znaleźć porządną kobietę.

Stróże prawa opuszczali posesję Bothana na lekko chwiejących się nogach. Błyszczały im oczy; gorzały policzki; byli w doskonałych humorach. Strzelali na wiwat i nie zwracali uwagi na fakt, że podchmielony kierowca jechał krętą drogą na złamanie karku. Kto im tutaj podskoczy? Byli przecież przedstawicielami władzy i obrońcami ludu.

Porucznik osiągnął swój zamierzony cel – odciągnął uwagę ludzi szeryfa od zasadniczych spraw. Pochłonięci konsumpcją nie zwrócili uwagi na takie szczegóły jak rozwieszona na sztachetach damska bielizna czy wiklinowe kosze znajdujące się na poletku kukurydzy.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że w nieprzystępnych borach, na mokradłach i skalistych wzgórzach żyło własnym życiem wielu nieznanych nikomu ludzi. Niegroźnych i nieszkodliwych. Pragnących jedynie odosobnienia i anonimowości. Nie było więc sensu bez powodu nękać ich ani niepokoić. Miał nadzieję, że budowana przez niego sieć informatorów pozwoli mu w końcu ująć któregoś z groźnych przestępców.

W momencie, w którym zastukano do bramy posesji, Gabhrana ogarnęło przerażenie. Kiedy usłyszał, że to szeryf – wpadł w panikę. Oczami wyobraźni widział siebie skutego w kajdany i prowadzonego do więzienia.

Keira zauważyła jego zachowanie. Syn nerwowo przechadzał się po jaskini, zaciskał dłonie, obgryzał paznokcie i wzruszał ramionami. Jego rozbiegane oczy i zaciśnięte usta świadczyły o stanie hysterii.

Martwiła się o niego. Pozostawienie go samemu sobie spowoduje, że się zagubi i stoczy na dno. Nie! Ona – matka – nigdy na to nie pozwoli. Była pewna, że gdyby została z nim sam na sam, wyśpiewałby jej wszystko jak na spowiedzi. Jednakże ze względu na obecność Sian postanowiła być taktowna. Znała syna i widziała, że jego buńczuczność, arogancja, czasami wręcz chamstwo to gra i udawanie. W ten sposób dodawał sobie odwagi i krył się za maską twardziela. Gabhran po prostu wszystkiego pragnął popробować. Przy czym najczęściej wzorował się na złych przykładach.

Wchodziła stromymi schodkami do swojego lokum. W pomieszczeniu panował zaduch. Spojrzała w okienko. Na niebie

zbierały się chmury. Upał i skwar utrzymywał się już od kilku dni. Burza wisiała w powietrzu. Każdy z tęsknotą oczekiwał deszczu.

Zaczęło się po północy. Najpierw była uwertura w postaci błysków, pomruków i zawodzenia wiatru. Potem rozpętało się szaleństwo. Grzmiało i huczało. Jedno z wyładowań atmosferycznych było tak głośne, że zatrzęsły się mury. Na zewnątrz trzaskało jak z bicia i żałośnie wyło. Każdy grom poprzedzały zygzakowate błyskawice. Zrobiło się jasno. Rozwarły się podwoje i z niebiańskiego sklepienia lunęły hektolitry wody.

Wsluchiwała się w odgłosy ulewy. Za oknem szalała nawałnica; w ciasnym, maleńkim pokoiku na poddaszu rozchodził się zapach ziół; a ona leżała w łóżku, oddając się niedorzecznym marzeniom.

Keira uznała, że nadszedł czas trudnych rozmów. Pierwszą przeprowadziła z Bothanem i uzgodnili, że wiosną lub z początkiem lata Sian opuści posiadłość i uda się w podróż. Czeką ją długa wędrówka.

Bothan był sceptycznie nastawiony do takiego pomysłu. Wszak Sian była jego ukochaną córeczką. Poza tym to jeszcze dziecko. Jak poradzi sobie w świecie pełnym zasadzek?

Keira jednak przekonała go, że Sian jako jedyna z nich zdolna jest wtopić się w czeluści ogromnego miasta. Ponoć najłatwiej ukryć się w tłumie. Ich córka jest skromna, a takie osoby są rzadkością w dzisiejszych czasach. Swoją potulnością i pracowitością szybko zjedna sobie przychyłność i życzliwość ludzi i powróci tutaj w glorii.

Drugą rozmowę przeprowadziła z synem.

– Będę z tobą szczerą. Wiem wszystko – zaczęła. Wypowiedziane przez nią słowa mogły odnosić do każdej sytuacji. Obserwowała kątem oka Gabhrana i zauważyła, jak zastygł w bezruchu.

– Przede mną nic się nie ukryje. Czytam w ludzkich myślach. Wychodzisz na zewnątrz i wyrządzasz ludziom krzywdę. Potem uciekasz jak tchórz, chowając się za murem. Tak ci wygodnie, ponieważ tutaj czujesz się bezpieczny, prawda?

Popatrzył na nią. Zagryzł wargi i zazgrzytał zębami.

– Przypisujesz mi nieczne uczynki. To wszystko nieprawda – odpowiedział ze złością.

– Nie kłam! Widziałeś tych policjantów. Czają się w pobliżu i w końcu cię wytropią. Przyznaj się, gdzie jest to przejście?! – natarła na niego.

– Czego ode mnie chcesz? Dlaczego mnie dręczysz? Przestań!

Zakrył rękami głowę. Zrobiło jej się go żal. Było to zagubione dziecko, które nie rozpoznawało, co dobre, a co złe. Postanowiła więc użyć innych metod perswazji.

– Kocham cię tak samo jak Sian. Może tego nie okazuję, ale to prawda. Nie czyni więcej zła, a wszystko będzie dobrze. Inaczej skończysz marnie. Pójdiesz do więzienia, a moje serce będzie krwawiło. Pomyśl o tym, zanim znowu przyjdą ci do głowy głupoty.

Podeszła do niego i pogłaskała go po głowie. Nie odtrącił jej ręki, jak robił to poprzednio. Rozpoznała po tym, że jej słowa odniosły zamierzony skutek. Zmiękł. Z zaciśniętej krtani wyrwały mu się słowa:

– Tkwi we mnie zło... opętał mnie diabeł. Nie umiem się opanować. Nie wiem, skąd się to bierze.

Zaniósł się płaczem. Wstrząsały nim konwulsje i brakowało mu tchu.

– Płacz – mówiła – oczyść się, nie bój się... wesprzemy cię w trudnych chwilach i pomożemy ci wyrwać się z tego przekłętogo kręgu.

On mówił, a ona słuchała. Wysłuchiwała go tak, jak matka wysłuchuje syna. Kodowała w pamięci detale, które mogłyby być w przyszłości pozytywne dla całej rodziny.

Trzecią rozmowę odbyła z córką. Oznajmiała jej omówione z Bothanem plany. Ku jej zaskoczeniu, Sian nie była zaskoczona. Wręcz przeciwnie – ucieszyła się. Okazało się, że od dłuższego już czasu pragnęła posmakować wolności.

Zima była dla Gabhrana najgorszą porą roku. Zięb, śnieg, krótkie dni i brak zajęcia powodowały u niego pogorszenie nastroju, a nawet stany depresyjne. Snuł się z kąta w kąt, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Zaszywał się czasami w drewnutni, gdzie rąbał drewno, aby zwalczyć nudę. Pomimo zagrożenia, z chęcią wybrałby się na wycieczkę poza mury posiadłości. Podpaliby dla hecy kopę siana, stertę słomy lub złupiłby pozostawione bez opieki obejście.

W czasie jednej z eskapad zainteresowała go usytuowana nad urwiskiem posesja. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak opuszczona farma. Obejście wydawało się wymarłe. Jednakże ukryte w gęstwinie drzew zabudowania: budynek mieszkalny, obora, stodoła i kilka szop tylko z pozoru wyglądały na niezamieszkane. Po dłuższej obserwacji zauważył, że na terenie posesji przebywał

ochroniarz, po podwórzu kręciły się psy, a na słupie zamontowana była kamera.

Co jakiś czas przyjeżdżała tam furgonetka, z której wysiadało dwóch uzbrojonych mężczyzn i wносиło do domu skrzynie, foliowe worki i butle z gazem. Kilka razy widział tam też człowieka w białym fartuchu. Gabhran ubzdurał sobie, że w skrzyniach znajduje się złoto i diamenty. Utwierdzał go w takim przekonaniu fakt, iż na dachu domu znajdował się wskaźnik przypominający swoim kształtem krzyż, a pod krzyżem, jak przepowiedziała im matka, miał być ukryty skarb.

Pokusa wyjścia na zewnątrz i chęć obłowienia się były tak duże, że z trudem potrafił się opanować. Bał się jedynie tego, że pozostawione na śniegu ślady mogłyby doprowadzić ludzi szeryfa do sekretnego wyjścia. Postanowił cierpliwie przeczekać zimę i wiosną kontynuować obserwację.

Naiwny chłopak nie zdawał sobie sprawy, że igra z losem.

Dla Sian z kolei zima była niezwykle pracowita. Keira uczyła ją podstawowych zasad poruszania się w borach, sztuki zdobywania pożywienia i unikania dzikich zwierząt. Przeszkoliła ją, jak zbudować szałas, przygotować nocleg, rozpać ognisko i ugotować posiłek.

Następnym punktem, któremu matka poświęciła sporo czasu, było przysposobienie córki do poruszania się w miejskim środowisku.

– Bądź pokorna, ale nie pozwól sobą pomiatać. Wykorzystuj każdą nadarżającą się szansę do zaprezentowania swoich talentów. Gdy będziesz w potrzebie, odwiedzaj zakony i kościoły. Naucz się na pamięć naszego numeru telefonu i dat urodzeń. Nie

zapominaj o nas i wróć tutaj, gdy nadejdzie pora. Pamiętaj: miej głęboką wiarę w to, co robisz. Nigdy się nie poddawaj. Potrzebne ci będą takie atrybuty jak szczęście i umiejętność podejmowania słusznych decyzji – przypominała jej na każdym kroku.

Sian czekało niezwykle trudne zadanie. Musiała przedrzeć się przez wysokie góry i leśne odstępny, omijając przy tym ludzkie osady i dotrzeć do miasta Uranos. Tam miała odnaleźć zakonnicę o imieniu Ursula.

Keira patrzyła na córkę i miała wyrzuty sumienia, że poddaje ją tak trudnej próbie.

Wiatr zaciął, a drobinki śniegu wdzierały się do pomieszczenia poprzez szpary w futrynie. Brr, co za ziąb. Szczękając zębami, nakryła się pierzyną, szukając odrobiny ciepła. W jej pokoiku nie było pieca. Czasami wkładała pod pościel termofor z gorącą wodą lub nagrzane w piekarniku cegły.

Leżała w łóżku i rozmyślała. To jej ostatnia zima w tym miejscu. Z początkiem lata uda się w podróż. Wraz ze zbliżającą się datą opuszczenia domu stawała się smutniejsza, pełna obaw i targały nią przeróżne rozterki. Zadawała sobie dziesiątki pytań, nie mogąc znaleźć na nie konkretnych odpowiedzi. Co ją czeka za wysokim murem? Czy sobie poradzi? Czy będzie tęskniła do tego miejsca?

Nie wyciągnął wniosków z ostrzeżeń; nie posłuchał głosu rozsądku – w dalszym ciągu wymykał się na zewnątrz. Zastanawiał się nawet, jak dostać się na teren tajemniczej posesji. Tam, w jego mniemaniu, czekały na niego skarby, które w przypadku zagarnięcia mogłyby zmienić jego życie.

Wiedział już, że w każdy czwartek o tej samej porze odbywa się dostawa butli z gazem. W tym samym dniu zabierane były owinięte czarną folią pakunki. Zazwyczaj przyjeżdżało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był potężnie zbudowany. Łysy z krogulczym nosem i szramą na policzku. Drugi – wysoki, szczupły z białymi jak mleko włosami. Ten wydał się Gabhranowi bardziej niebezpieczny.

Pewnej soboty nastąpił wyłom w dotychczasowej rutynie. Na terenie posesji pojawili się ci sami ludzie w asyście tajemniczego jegomościa. Od razu widać było, że to boss. Ubrany w długie do kostek płaszcze, wyglądał jak mafioso. Ciągłe gestykulował i wymachiwał rękami. Jeden z ochroniarzy wyprowadził na zewnątrz budynku bladego ze strachu człowieka, polecając mu opaść na kolana. Osobnik złożył dłonie jak do modlitwy i błagał o litość.

Gabhran zamarł w bezruchu. Na placu przed domem rozgrywała się scena jak z gangsterskiego filmu. Albinos wyciągnął z kabury pistolet, przystawił go do głowy błagającego o litość człowieka i pociągnął za spust. Rozległ się wystrzał, po którym klęczący człowiek osunął się na ziemię. Oprawca schował do kabury pistolet, podszedł do leżącego i poruszył go butem. Działał flegmatycznie, tak, jakby to było dla niego coś normalnego.

Gabhrana ogarnął paraliżujący strach. Zakręciło mu się w głowie i o mało nie osunął się z drzewa. Zapragnął jak najszybciej uciec z tego miejsca. Momentalnie przeszła mu ochota na zdobycie fortuny.

Martwy człowiek został zawinięty w folię i wrzucony do wykopanego za stodołą dołu.

Tego wieczora Keira odnalazła go w szopie. Nic do niego nie docierało. Tak, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. Nie miał ochoty na kolację, tłumacząc się niedyspozycją żołądkową. Przed jego oczami bezustannie przewijał się moment egzekucji i zwiotczała sylwetka leżącego na ziemi człowieka.

Patrzyli na nią zasępieni. Zakrywali twarze, drapali się po głowach i spuszczaali oczy.

Sian pożegnała każdy zakamarek. Stodołę, obory i szopy. Zatrzymała się przy studni, zaczerpnęła kubkiem wody, napiła się i zapłakała. Teraz przyszła pora na żywy inwentarz: starą kobyłę, krowy, kozy, owce, drób i psy. Następnie weszła do kamiennego domku i stanęła przy piecu, który ogrzewał jej ciało w zimowe wieczory.

– Wróć do nas, córeczko – mówił łamiącym się głosem Bothan. Tutaj jest twój dom. Tutaj są twoje korzenie. Bramy tej posiadłości zawsze stoją przed tobą otworem.

– Żegnaj, matko, żegnaj, ojcie, żegnaj, bracie. Muszę już iść. Bywajcie zdrowi.

Bothan otworzył bramę. Sian przekroczyła wrota i po raz ostatni obejrzała się za siebie. Od tej chwili będzie wyłącznie spoglądać przed siebie. Był pogodny poranek. W oddali słychać było odgłos spływającej z gór wody i szumiących drzew. Brzęczały pszczoły, śpiewały ptaki, gdzieś zarżał koń. Wokoło toczyło się normalne życie.

Keira, Bothan i Gabhran stali oparci o kamienny mur, patrząc za znikającą za zakrętem drogi drobną postacią.

Sian uniosła do góry rękę i pomachała im na pożegnanie.